

**Elisabeth Scott**

**Uwodziel**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Joanna stanęła na schodach wiodących do wielkiego szpitala, za którym rozciągały się malownicze szczyty. Góry i morze...

W końcu znalazłam się w Kapsztadzie i będę pracować w szpitalu Groote Schuur, pomyślała.

Miała ochotę wypowiedzieć te słowa na głos, jakby chciała się przekonać, że nie śni. Nie, to nie sen, tylko rzeczywistość. Słyszała wokół charakterystyczny gwar; widziała pacjentów i ich krewnych, lekarzy, pielęgniarki, sanitariuszy, nadjeżdżający ambulans, wyciągane z niego nosze...

Niby wszystko było tak samo jak w szpitalu w Londynie, a jednak zupełnie inaczej. Twarze ludzi miały tutaj różne barwy; słyszała tyle dziwnych języków, których – jak stwierdziła ze zdziwieniem – nie rozumiała.

Przez chwilę zastanawiała się, jak sobie z tym poradzi, potem zadarła nieco głowę – gest ten był dobrze znany jej londyńskim przyjaciołom – wzięła głęboki wdech i weszła do budynku.

Przecież tego właśnie chciałam, powiedziała sobie. Zacząć wszystko od nowa, w nowym kraju. Planowałam to od wielu miesięcy.

Pani Matama, przełożona pielęgniarek, do której ją teraz zaprowadzono, przeglądała właśnie jej akta.

– Bardzo nam miło, że w końcu pani do nas trafiła, sestro Boyd – oznajmiła. – Jak rozumiem, już od roku starała się pani

o przeniesienie. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu choroby

i śmierci matki...

W ciemnych oczach starszej kobiety Joanna dostrzegła prawdziwą sympatię. Poczwała lekki ucisk w gardle.

– Dziękuję – odparła. – Wiedziałam, że moje podanie zostało przyjęte, ale... nie mogłam opuścić mamy.

– Naturalnie – zgodziła się przełożona i wstała. – Jest tu wolny pokój w budynku przeznaczonym dla personelu, chociaż pielęgniarki wolą mieszkać w mieście. Ale zawsze to jakieś lokum na początek. W razie problemów proszę przychodzić do mnie. – Chwyciła słuchawkę telefonu. – Amelio, mogłabyś zaprowadzić siostrę Boyd do jej pokoju? Dziękuję.

Po dziesięciu minutach Joanna znalazła się w swojej nowej kwaterze. Położyła walizkę na wąskim łóżku. Trochę tu było inaczej niż w zabałaganionym mieszkaniu, które dzieliła z trzema pielęgniarkami przy szpitalu św. Małgorzaty. I jakże odmiennie niż w znajdującym się w hrabstwie Surrey wiejskim domu, który stał w ukochanym ogrodzie jej matki.

Usiadła na jedynym krześle, jakie stało w pokoju. Ogarnęła ją fala smutku i tęsknoty za krajem oraz tym, co znajome. Może pomysł sprzedania domu wraz ze zwierzakami – starym labradorem Shandym i kotem Olivierem – wcale nie był dobry? Mieszkała tam przecież przez tyle lat, najpierw z obojgiem rodziców, a potem, po śmierci ojca, z matką. Mogła przecież odnajdąć na pewien czas rodzinną nieruchomość i nie palić za sobą mostów.

A jednak zaraz przypomniała sobie o wszystkich okolicznościach, które zmusiły ją do wyjazdu z Anglii i do rozpoczęcia wszystkiego od nowa...

Rozpakowała ubrania, które przywiozła; wraz z pielęgniarskimi

fartuchami zapełniły niewielką szafę. Główny bagaż miał dopłynąć statkiem dopiero po pewnym czasie.

– Cześć! Już się rozlokowałaś? Przyniosłam ci herbatę. Jestem Dorothy Marais. Mam pokój w tym samym korytarzu i też pracuję na oddziale położniczym. Siostra Kenton prosiła mnie, żebym do ciebie zajrzała.

Dziewczyna stojąca w progu miała ciemne, kręcone włosy, błękitne oczy i uśmiechała się miło. W dłoniach trzymała kubek gorącej herbaty. Ten widok poprawił Joannie nastrój.

– Bardzo dziękuję – odparła, wstając. – Właśnie marzyłam o herbacie.

– W końcu korytarza jest mała kuchnia. Słodzisz? Nie? Można tam gotować wodę i robić grzanki. Stołówkę znajdziesz piętro niżej. – Skrzywiła się i dodała: – Ale nie oczekuj po niej za wiele.

– Bez obaw – zapewniła Joanna. – Stołowałam się już w wielu szpitalach. Coś jednak trzeba jeść.

Okazało się zresztą, że stołówka nie była wcale taka straszna – podawano tam różne sałatki i gatunki ryb, których Joanna dotąd nie знаła. Dorothy nie zeszła na kolację, a nazajutrz zapukała do pokoju swej nowej znajomej po szóstej rano. Joanna, ubrana już w strój do pracy, popatrzyła zaskoczona na owiniętą kąpielowym ręcznikiem koleżankę.

– Zaczekaj na mnie, będę gotowa za dziesięć minut. – Dorothy z trudem łapała oddech. – Zjemy razem śniadanie, a potem zaprowadzę cię na nasz oddział. Do zobaczenia przy kuchni.

W drzwiach szafy znajdowało się lustro i Joanna szybko się w nim przejrzała. Wyglądała całkiem dobrze w kitlu z krótkimi rękawami, bardzo odpowiednim na upały, które panowały tu nawet w listopadzie. Niedawno podcięła włosy i teraz ledwie sięgały jej do ramion. Była pewna, że w

tutejszych szpitalach obowiązują podobne przepisy jak w Anglii, toteż spięła je z tyłu głowy. O, teraz jeszcze lepiej, pomyślała, gotowa do rozpoczęcia pracy w nowym miejscu. Wyglądam na rasową brytyjską pracownicę służby zdrowia.

Dorothy Marais czekała już na nią, choć włosy nadal miała lekko wilgotne. Joanna cieszyła się, że nie wchodzi sama do zatłoczonej stołówki i ktoś wskaże jej drogę w labiryncie długich szpitalnych korytarzy. Donośny płacz niemowląt stanowi! nieomylny znak, że w końcu trafiła na swój oddział.

– Siostra Boyd?

Przełożona, siostra Kenton, mocno zbudowana kobieta o włosach przyprószonych siwizną, zerknęła na Joannę zza biurka stojącego w gabinecie.

– Skończę tylko z tymi kartami i zaraz się panią zajmę – odezwała się bardziej do siebie niż do Joanny. Po paru minutach podniosła wzrok i uśmiechnęła się. – No, nareszcie – odetchnęła z ulgą. – Oprowadzę siostrę po bloku. Zaczniemy od porodówki. Z papierów wynika, że chce tam pani pracować.

Krocząc za panią Kenton po korytarzach oddziałów, Joanna szybko poczuła się całkiem swojsko. Ciężarne kobiety wykonujące ćwiczenia oddechowe, ich niespokojni mężowie, bladzi i nie ogoleni, pielęgniarki wśród pacjentek – ten widok był jej dobrze znany.

I znów wyczuła tę swobodną, przyjazną atmosferę. Starsze pielęgniarki witały się z nią serdecznie. Nie bez powodu – w szpitalu brakowało rąk do pracy.

– Później będzie mogła pani pracować na oddziale noworodków i w

przyszpitalnej poradni dla kobiet – oznajmiła siostra Kenton. – Zorganizowaliśmy tu też specjalne oddziały położnicze w mieście, głównie w uboższych dzielnicach. Kobiety mogą tam przyjść, żeby urodzić dziecko, a potem po paru godzinach wrócić do domu. Praca tam bywa trudna i odpowiedzialna. Trzeba się wykazać samodzielnością, bo nie zawsze na miejscu jest lekarz.

– A jeśli pojawią się jakieś problemy? – zapytała Joanna. – Na przykład skomplikowany poród albo noworodki z wadami rozwojowymi?

– Wtedy trzeba liczyć na dojeżdżającą służbę medyczną. Z pewnością zetknie się pani z nią nieraz podczas pracy.

Dotarli do końca długiego korytarza.

– Tu umieszczamy wcześniaki. Będę kierowała tutaj siostrę od czasu do czasu, bo mamy braki kadrowe. Zdaje się, że ma pani pewne doświadczenie?

– O tak, sporo się zajmowałam wcześniakami. Nagle rozległ się dźwięk pejdżera siostry Kenton.

– Wracamy na porodówkę. Do pracy, siostró Boyd. Noc upłynęła spokojnie, ale wszystkie chyba się zmówiły, żeby rodzić teraz.

I rzeczywiście – w ciągu dziesięciu minut trzeba było przyjąć trzy porody. Joanna szybko weszła w wir pracy. W pierwszych dwóch przypadkach tylko asystowała, ale w trzecim przejęła ster i oto trzymała w dłoniach swe pierwsze południowoafrykańskie niemowlę: pulchną, śniadą dziewczynkę z główką pokrytą czarnymi włoskami.

– Damy jej na imię Inkulu – rzekła cicho młoda matka, gdy Joanna podała jej dziecko. – U nas tak nazywamy pierworodnych.

Młody lekarz z jasnymi włosami, który przybył tuż po tym, jak Joanna

odebrała poród, powiedział wesoło:

– Proszę wpaść do poradni przed powrotem do domu, żeby po tej małej nie przyszło zbyt prędko na świat kolejne dziecko.

– O tak, panie doktorze – przytaknęła gorliwie matka. – Córeczka musi urosnąć i nabrać siły, zanim będzie miała braciszka.

– Mam nadzieję, że ona naprawdę tak uważa – powiedział nieco później lekarz, pospiesznie pijąc wraz z Joanną kawę w gabinecie przyjęć.

– Zdaje się, że nie miałem jeszcze okazji się przedstawić. Nazywam się David Palmer.

– Wiem to już z pańskiego identyfikatora – odparła, zmieszana lekko tą bezpośredniością. – Jestem Joanna Boyd.

– Witaj w Grocie, Joanno. Takie niezbyt miłe przezwisko nadano temu szpitalowi.

– Mój dawny szpital nazywano Małgochą. – Joanna odstawiła filiżankę. – Lepiej już wrócę i zobaczę, co się święci.

Dzień przeminął dosłownie w mgnieniu oka. Kilka kobiet było w początkowej fazie porodu; wszystko szło prawidłowo i zgodnie z planem, aż do chwili, gdy porody weszły w następny etap. Wtedy tempo wydarzeń na oddziale wyraźnie wzrosło. Joanna nie traciła jednak głowy. Czowała się w tej pracy znakomicie; znowu wykonywała swe ulubione zajęcie. Tak bardzo jej tego brakowało w owych smutnych miesiącach, gdy matka walczyła z chorobą. Joanna starała się jej odwdzińczyć za rodzicielską opiekę i troskę. Nie mogła pozostawić matki na łasce losu.

– Pojedziesz do Kapsztadu... po wszystkim, Joanno? – pytała matka w ostatnich tygodniach życia.

Były wobec siebie całkowicie szczere.

– Tak, mam – odpowiadała, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

Teraz wyrwał ją z zadumy głos:

– Można się przysiąc?

Spojrzała w bok i zobaczyła stojącą przy jej stoliku w stołówce Dorothy Marais i jeszcze jedną pielęgniarkę. Obie trzymały w rękach talerze z sałatkami i kurczakiem.

Dorothy przedstawiła swoją koleżankę, Rose Hill, która też pracowała na oddziale położniczym.

– A więc poznałaś już naszego doktora Palmera – zagadnęła Dorothy. – I co o nim sądzisz?

Joanna ostrożnie odparła, że wydał jej się bardzo miły.

– Jest w porządku – rzekła Dorothy, wzruszając ramionami – ale bardzo młody.

Joannę rozbawiła ta uwaga. David Palmer nie mógł być młodszy od samej Dorothy. Zauważyła, że Rose Hill także hamuje uśmiech.

– Dorothy lubi starszych – wyjaśniła Rose.

– Tylko niektórych – sprostowała Dorothy – a on i tak do nich nie należy.

– Powiedziałabym, że to wieczny Piotruś Pan – zauważyła Rose kwaśno. – Kiedy go nie ma, zaraz robi się spokojniej.

Zaintrygowana Joanna już miała spytać, o kim właściwie mowa, lecz Dorothy ją ubiegła:

– A ty, Joanno? Zostawiłaś kogoś w Londynie?

– Nie – odparła szczerze. – Nikogo poza garstką znajomych i przyjaciół.

Dorothy spojrzała na nią krytycznie.

– A więc liczysz, że poznasz kogoś tutaj?

– Dorothy, nie bądź wścibska – upomniała ją Rose.

– Nie jestem wścibska, tylko ciekawa – wyjaśniła Dorothy rozbrajająco.

Joanna uśmiechnęła się i odrzekła:

– Nic z tych rzeczy. Mam dwadzieścia dziewięć lat i kiedyś wypatrywałam księcia na białym koniu, ale teraz patrzę na świat realistyczniej. Chyba nie jestem romantyczką. Jeśli znajdę kogoś rozsądnego i dogadamy się, to dobrze. Dorothy westchnęła.

– Ja mam irlandzką krew – oznajmiła. – Moja matka jest Irlandką, ojciec Afrykanerem. I wypatruję swojego księcia w bmw, a nie na rumaku.

Po pracy, przebierając się w swoim pokoju, Joanna uzmysłowiła sobie, że polubiła obie dziewczyny: Dorothy, bystrą i Dorywczą, oraz Rose, starszą i spokojniejszą, której piwne oczy zapłonęły sympatią, gdy Joanna opowiedziała jej o swojej matce.

Już po paru dniach czuła się w szpitalu całkiem swobodnie. Język również nie stanowił bariery, bo pielęgniarki i pacjentki znały niezłe angielski.

Pewnego poranka, kiedy obchodziła sale, którymi się opiekowała, została przywołana przez jedną z kobiet. Joanna natychmiast dostrzegła ból w jej oczach i krople potu na czole.

– Źle ze mną, siostró – odezwała się tamta. – Wydaje mi się, że krwawię.

Szybkie badanie potwierdziło krwotok. Joanna pewnym głosem poleciła stażystce wezwać doktora Palmera, sama zaś zastosowała ucisk, by zatamować krwawienie. Później założyła kroplówkę.

– Wkrótce zjawi się lekarz – uspokajała pacjentkę. – Proszę leżeć spokojnie.

Usłyszała za sobą odgłos kroków, nie obejrzała się jednak.

– Świetnie, siostrze. Widzę, że opanowała pani kryzys. Pani Thorpe, zaraz zrobię zastrzyk.

To nie był głos Davida Palmera ani też starszego, hinduskiego lekarza, doktora Rajbansiego, tylko... Nie, to niemożliwe. A jednak...

Zdołała opanować drżenie rąk, asystując przybyłemu lekarzowi, wysokiemu mężczyźnie o ciemnych włosach i błękitnych oczach, o twarzy szczupłej i bardziej opalanej niż ta, którą zapamiętała.

– Jake O'Connor. – Nie poznał jej! – Dobra robota, siostrze... Boyd – rzekł, zerkając na jej identyfikator, gdy wychodzili z sali. – Ona jest nadal w szoku, ale wyjdzie z tego. Później zrobimy badanie krwi. Dzięki pani szybkiej akcji nie straciła jej zbyt wiele. Jest tu siostra od niedawna, prawda?

– Owszem – odparła trochę szorstko. – A teraz, jeśli pan wybaczy, doktorze...

Jego błękitne oczy nabrały głębi na tle opalanej twarzy.

– Może wpadniemy na kawę – zaproponował. On zna siłę swojego uśmiechu, pomyślała.

– Jestem przekonana, że żadna z pielęgniarek nie wzgardzi tą propozycją – rzuciła chłodno.

Popatrzył na nią z namysłem.

– Co prawda, to prawda, siostrze. – Ten uroczy, irlandzki akcent, ubarwiający jego niski głos... – Podawanie mi kawy nie należy do

obowiązków pielęgniarek.

Joanna odeszła z uniesioną głową, świadoma, że on odprowadza ją wzrokiem.

– Czy nie jest fantastyczny? – spytała szeptem Dorothy Marais, gdy spotkała Joannę w kuchni w bloku dla pielęgniarek. – Prawdziwy cud: te oczy, ten uśmiech!

– Fantastyczny? Kto taki? – spytała Joanna, dobrze wiedząc, kogo Dorothy ma na myśli.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Jake O'Connor, oczywiście. Joanna wzruszyła ramionami.

– Jasne, przystojny, ale nie znoszę tych lekarzy, którym się zdaje, że wszystkie panny śnią o nich po nocach. – I, aby się zabezpieczyć na przyszłość, gdyby prawda wyszła na jaw, dodała: – Zachowywał się tak samo w szpitalu św. Małgorzaty, gdzie poprzednio pracowałam.

Dorothy ostrożnie odstawiła filiżankę.

– Chcesz powiedzieć, że go znasz? – zapytała zdziwiona. – Znasz Jake'a O'Connora?

Joanna pokręciła głową.

– Niezupełnie... Znam go, ale wątpię, czy on mnie pamięta. I tak byłoby najlepiej, dodała w myślach. Była pewna, że i doktor O'Connor nie chciałby się zetknąć z osobą, która znała go w Londynie.

Dorothy sprawiała wrażenie oniemiałej, ale Joanna nie miała zamiaru ciągnąć tematu. Nie chce zawracać sobie tym głowy, postanowiła twardo, wróciwszy do swego pokoju. On jest lekarzem, muszę z nim pracować – i to wszystko. Wiem, że jest skończonym łajdakiem, ale co z tego?

O Helen Johnson nie wiedziała zbyt wiele. Tyle tylko, że wplątała się w

raczej zgubny dla niej związek z doktorem O'Connorem. Jake, który jednym uśmiechem zdobywał względy wszystkich pielęgniarek w św. Małgorzacie, sam stracił głowę. No i zaręczył się z Helen. Joanna nazywała ich czasem w myślach piękną parą: Jake O'Connor był wysokim brunetem o niewiarygodnie błękitnych oczach, Helen zaś wysoką, szczupłą blondynką.

Gdy jednak pewnego dnia Joanna natknęła się w niewielkim różanym ogródku za szpitalem na Helen Johnson, ta była już tylko cieniem samej siebie. Włosy miała wzburzone, oczy zaczerwienione, i sprawiała wrażenie tak roztrzęsionej, że Joanna nie mogła się powstrzymać.

– Helen, co się stało? – zapytała.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, na której nosiła wcześniej pierścionek z szafirem.

– Jake nie chce się ze mną ożenić – odparła drżącym głosem. – Zerwał zaręczyny.

– Zerwał zaręczyny? – powtórzyła zaskoczona Joanna. – Ale... dlaczego, Helen? Wyglądaliście na taką... dobraną parę.

– Też mi się tak wydawało. Ale on nie potrafi być wiemy. Mogłam się tego spodziewać. On już taki jest... – Łzy napłynęły jej do oczu.

Znam ja takich, pomyślała wtedy Joanna, a i teraz nie mogła pozbyć się rozgoryczenia. Ctiff Denton – on też składał obietnice i słodkie zapewnienia, a tymczasem miał na boku dziewczyny w Edynburgu i Bristolu. I pewnie jeszcze parę innych. Joanna dowiedziała się o nich ostatnia, bo mu ufała. O tak, powtórzyła w myślach, mnie też tacy faceci zależli za skórę.

Wtedy starała się pocieszyć biedną Helen, która tarła załzawione oczy.

Niebawem zaczęto poszeptywać, że jest bliska załamania nerwowego. Jake O’Cormor odszedł, a persone! szpitala szybko znalazł sobie inny temat do plotek. A jednak Joanna zapamiętała dobrze, w jaki sposób Jake potraktował narzeczoną. Jasne, zaręczyny bywają zrywane, ludzie zmieniają zdanie, nie należało jednak składać zakochanej dziewczynie tak daleko idących obietnic; nie musiał mówić jej o ślubie. Najwyraźniej Jake, podobnie jak Cliff, należał do wiarołomnych.

Co tam, pomyślała teraz, to było dawno temu, na drugim końcu świata. Nie miała zamiaru opowiadać Dorothy ani komukolwiek o tym, co wie o przystojnym irlandzkim lekarzu. Nie miała też zamiaru ulegać jego urokowi – w odróżnieniu od większości pielęgniarek. Nawet siostra Kenton zerkała na niego przychylniej. Wszystkie do niego wzdychają – z wyjątkiem mnie, powiedziała sobie z satysfakcją.

I Jake O’Connor musiał być tego świadomy. Czasami spoglądał na nią zamyślony, gdy chłodno odpowiadała na jego pytania dotyczące jakiejś pacjentki. Nie dawała się wciągać w pogaduszki na tematy nie związane z pracą.

Dorothy i Rose wpadły na pomysł, by wyprowadzić się z domu dla pielęgniarek, jeśli tylko uda im się znaleźć mieszkanie w mieście. Pytały, czy Joanna chciałaby zamieszkać z nimi.

– Bardzo chętnie – odparła, gdyż jej niezbyt przytulny pokój nie przypominał prawdziwego domu. Oczekiwała szybkiego nadejścia bagaży, których właściwie nie miałyby gdzie pomieścić. Myśl o przeprowadzce przypadła jej więc do gustu, a gdy Rose znalazła stare domostwo w pobliżu obserwatorium, przy drodze wiodącej do szpitala, pojechały we trójkę je obejrzeć.

– Jest dla nas trochę za duży – zauważyła Rose, gdy podziwiały dom: wysokie pokoje, przestronną i nowoczesną kuchnię, dużą łazienkę z wanną i prysznicem.

Joannie spodobała się szeroka, ocieniona weranda.

– Każda z nas będzie miała swój pokój i zostanie jeszcze mała sypialnia – powiedziała.

Dorothy podeszła do okna, przyglądając się drewnianym żaluzjom.

– Może David chciałby z nami zamieszkać? – rzuciła beztrąsko, a Joanna i Rose wymieniły zdumione spojrzenia. – Wiem, że on czegoś szuka, a nieźle mieć mężczyznę pod ręką.

– Nieźle – przyznała ponuro Rose – ale myślałam, że go nie znosisz, bo jest młody.

– Bardzo młody – Dorothy spaşowiała – ale mógłby być dla nas kimś w rodzaju... brata.

„Brat”, jak się okazało, nie miał nic przeciwko owej propozycji i przed koncern miesiąca we czworo przenieśli się do nowego lokum. Joanna, zachęcona korzystnym kursem walut, kupiła niewielki, używany samochód. Zostawiała go na ulicznym parkingu tuż obok zdezelowanego garbusa należącego do Davida.

Nie jeździła do pracy, bo szybko można było dojść do szpitala pieszo. Poza tym uwielbiała spacerować i rześkie powietrze. Rano słońce jeszcze tak nie przypiekało.

Pracując z doktorem O’Connorem, coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że jest on znakomitym fachowcem i zaczęła cenić jego umiejętności. W mgnieniu oka zjawiał się tam, gdzie był potrzebny: pacjentki nigdy na niego długo nie czekały.

Pewnego popołudnia musiała poradzić sobie sama z trudnym porodem. Okazało się, że ma do czynienia z przodowaniem pośladowym, które nie zostało wcześniej rozpoznane. Wykonała odpowiednie nacięcie.

– To ułatwi poród, pani Pryce – oznajmiła rodzącej. – A teraz proszę postępować zgodnie z moimi poleceniami: przecć i rozluźniać się, kiedy dam znak.

Napotkała wzrok jednej z pielęgniarek, która zdawała sobie sprawę, że poród nie będzie łatwy. Istniało ryzyko uszkodzenia czaszki dziecka, jednak nacięcie krocza mogło temu zapobiec.

– Dobrze, proszę przecć – powiedziała do pacjentki. – Teraz stop. Chwileczkę... Przecć znowu!

Ostrożnie ujęła śliskie ciało noworodka. Zawsze uwielbiała ten cudowny moment: pierwsze chwile maleństwa na świecie. Czowała wtedy dziwne wzruszenie, które, jakby wbrew sobie, starała się zagłuszyć. Przekazała narodzonego właśnie chłopca asystującej pielęgniarce i wtedy poczuła na sobie wzrok Jake'a O'Connora.

– Świetnie, siostró – powiedział. Znad maski śmiały się jego błękitne oczy. – Chciałem już wkroczyć do akcji, ale okazało się to zbyt wczesne. Pozycja przednio-krzyżowa, prawda? Spory wyczyn.

Mimo rezerwy, jaką czowała do Jake'a, z radością przyjęła tę pochwałę. W pracy doktor O'Connor nie szafował komplementami. Zauważyła to już w Londynie.

Trzeba przyznać, że to jednak dobry lekarz, stwierdziła w myślach. Pewnie dlatego taką przyjemność sprawiło mi jego uznanie.

– Musimy urządzić parapetówkę – zasugerowała Dorothy wkrótce po przeprowadzce do nowego domu.

– Nie stać nas na przyjęcia. Musimy najpierw kupić zasłony i krzesła do kuchni – odparła Rose.

Dorothy zbyła to wzruszeniem ramion.

– Przyjęcia nie muszą być kosztowne. Jedzenie mogą przynieść goście. A Joanna będzie miała okazję kogoś poznać.

Usłyszawszy to, Joanna musiała się uśmiechnąć.

– Przestań – wtrąciła Rose. – Powiedz, że po prostu lubisz imprezy.

– Ty też lubiłaś, dopóki Andrew nie wrócił do Kimberley. Nie mógłby znowu tu przyjechać?

Rose zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jest zbyt zajęty. No dobrze, musimy wprawdzie oszczędzać, ale przyjęcie to dobry pomysł. Kiedy je urządzimy?

Dorothy była zdania, że lepiej nie zwlekać, bo wkrótce przyjdzie grudzień, a wraz z nim okropne upały.

Joanna zaś doszła do wniosku, że chciałaby lepiej poznać ludzi, którzy stanowili jej nowe otoczenie. Wszystkich, nie tylko mężczyzn. Chociaż nie miała też nic przeciwko temu, by spotkać jakiegoś miłego faceta, z którym mogłaby się zaprzyjaźnić i który oprowadziłby ją po Kapsztadzie. Niekoniecznie lekarza – randki z lekarzami niezbyt jej się udawały.

– Czy Jake O'Connor wpadnie na przyjęcie? – Joanna spytała Dorothy parę dni później.

Dziewczyna zerknęła na listę zaproszonych gości.

– Jeśli będzie mógł – odparła z długopisem w ustach. – To zależy od jego dyżurów. A czemu? Zmieniłaś zdanie na jego temat?

– Ani trochę – odrzekła twardo Joanna. Wolałaby, żeby Jake nie przychodził.

I wydawało się, że jej prośby zostaną wysłuchane. Wielu gości już przyszło, lecz wśród nich nie było irlandzkiego doktora. Zagadnięta przez dosyć sympatycznego księgowego, przyznała, że owszem, w listopadzie w Londynie panuje zupełnie inna pogoda niż tutaj... I nie, nie zna jeszcze dobrze okolicy. Rozglądając się po zatłoczonym pokoju, pomyślała, że Dorothy miała jednak dobry pomysł. Ludzie z dwóch sąsiednich domów gościli już ich u siebie, a dwie starsze panie z naprzeciwka zapowiedziały, że upieką dla nich ciasteczka.

– Ależ nie, moje drogie, nie możemy przyjść – powiedziała parę dni wcześniej jedna z nich, nie uświadamiając chyba sobie, że Dorothy i Joanna przyszły tylko po to, by uprzedzić, że może być trochę głośno i przeprosić z góry za hałasy. – Ale bawcie się dobrze. Ja i Maud też kiedyś byłyśmy młode.

– To było dawno temu, Sylvio – wtrąciła jej siostra. – Jesteśmy teraz stare i głuche. Hałas nam nie przeszkadza. Niech tylko wasi goście nie parkują na naszym podjeździe.

Przyjęcie upływało w miłym nastroju, gdy naraz Joanna ujrzała przy drzwiach Jake'a. Tylko przez chwilę stał sam. Szybko podążyły w jego stronę dwie młode pielęgniarki z chirurgii i za moment już tańczył z jedną z nich. Dziesięć minut później zajęła go rozmową ruda siostra z pogotowia.

Wcale się nie zmienił, uznała Joanna. Pamiętała, że Jake lubił otaczać się dziewczętami, zanim zaręczył się z Helen. Zawsze cieszył się powodzeniem.

Nadeszła pora przyrządzenia przyniesionych przez gości bułeczek z kiełbaskami i pysznych pierożków somosa, Joanna nie mogła znaleźć ani

Dorothy, ani Rose, więc sama udała się do kuchni, zadowolona, że trochę odsapnie w spokojniejszym miejscu.

– A więc tu się skrył kopciuszek – usłyszała nagle głos Jake’a. Wszedł do kuchni, usiadł przy stole i przyglądał się, jak wkładała potrawy do piekarnika. – Widzę, że zdążyłaś się już trochę opalić – zauważył i Joanna poczuła się dosyć niepewnie w bluzce odsłaniającej ramiona. – Dobrze ci w tym kolorze. Pasuje do twoich oczu. Ale pewnie o tym wiesz.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. O tak, świadomie wybrała bluzkę barwy morskiej toni i indyjską spódnicę.

– Jedzenie będzie w pokoju – pospiesznie zmieniła temat. – Zaraz je tam przyniosę.

Westchnął.

– Czy wyglądam na głodnego? Nie, nie szukam przysmaków. Przywitałem się już z dwiema pozostałymi paniami domu i szukałem ciebie. Mama mnie uczyła, jak mam się zachowywać na przyjęciach. Także tego, że zawsze powinienem grzecznie się pożegnać.

Przez moment w wyobraźni Joanny zagościła groteskowa wizja: mały chłopczyk, posłuszny poleceniom mamy, żegna się z gospodarzami na przyjęciu. Z trudem pohamowała złośliwy uśmiech.

– A skoro wykazałem się dobrym wychowaniem, mam chyba prawo zaproponować taniec?

– Dziękuję, ale jestem zajęta. Spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Zastanawiam się czasem, siostró Boyd... to jest Joanno, czy naprawdę jesteś w stosunku do mnie źle nastawiona, czy też to jakaś gra.

Spojrzała na niego z nie ukrywaną złością.

– Nie prowadzę żadnych gier, doktorze. A poza tym jest chyba zbyt

łoczno, żeby tańczyć.

Jake podszedł bliżej.

– Tu nie ma nikogo – rzucił cicho, objął ją i przyciągnął do siebie. – Nic nie mów. Po prostu zatańczmy.

Joanna wspominała później tę scenę z przerażeniem. Nie wiem, co mnie napadło, myślała. Usłuchała go bezwolnie i tańczyli powoli w rytm sentymentalnej muzyki dobiegającej zza drzwi. Po chwili jednak odzyskała rezon. Wyrwała się z jego objęć i niewiele brakowało, by wyznała mu, że zna Helen Johnson.

– Doktorze O'Connor... – zaczęła, ale właśnie wtedy rozległ się wyjątkowo donośny dźwięk jego pejdżera.

– Do licha, wzywają mnie... Muszę lecieć. – Przesunął palcem po jej wargach. – Powtórzmy to kiedyś – dodał cicho i wyszedł.

Joanna odetchnęła głęboko. Nic z tego, odparła w duchu. Co też mnie napadło! Od tak dawna nie tańczyłam, a on mnie zaskoczył. I tyle.

A jednak tej nocy, kiedy przyjęcie dobiegło końca, a w domu znowu zapanowała cisza, długo nie mogła zasnąć. Rozpamiętywała to dziwne przeżycie: ona tańcząca w ramionach Jake'a O'Connora...

Kupno małego samochodu poważnie odmieniło jej codzienne życie. W wolnym czasie zaczęła się wybierać' na krótkie przejażdżki po okolicy. Bawiły ją uwagi, że powinna unikać korków: tutejsi ludzie chyba nigdy nie widzieli Londynu w godzinach szczytu.

Pewnego wieczora Trevor – księgowy, którego poznała na przyjęciu – zabrał ją do nadmorskiej restauracji.

– Nie mogę się przyzwycząić do tej słonecznej pogody. Wydaje mi się,

że zaraz zacznie padać – powiedziała Joanna po skończonym posiłku, gdy oboje wybrali się nad zatokę.

Wokół migwały jasne światła sklepów i restauracji, a w oddali ponad miastem wznosiły się majestatyczne góry. Trevor roześmiał się.

– W zeszłym roku przyjechał tu na gwiazdkę z Kanady mój brat z rodzina. Poszliśmy nad rzekę. Jego córeczka nie mogła się nadziwić, że może chodzić zimą bez płaszcza. Nie mogła w to uwierzyć.

– Ja też – przyznała Joanna, ubrana w sukienkę bez rękawów i sandały. Ciepły nocny wietrzyk muskał jej ramiona i nogi.

Trevor odwiózł ją do domu późnym wieczorem; światło paliło się już tylko w jednym oknie obok drzwi.

– Dzięki, Trevorze, było bardzo miło.

– Może niedługo wybierzemy się gdzieś znowu? Zadzwoń. Pocałował ją na pożegnanie. Jego usta były miękkie i ciepłe.

Joanna uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś całował ją na dobranoc po randce. Pocałunek sprawił jej przyjemność, ale... nie zaiskrzyło między nimi. Trevor pozostał dla niej miłym, sympatycznym znajomym.

Zaczęła lepiej poznawać ludzi, z którymi pracowała, a jedna z młodych praktykantek ze szkoły pielęgniarstwa, Thandi Kepenza, wyraźnie ją polubiła.

– Siostró Boyd – rzekła pewnego dnia dramatycznym głosem – chciałabym asystować przy porodzie, a w przyszłym tygodniu przenoszą mnie do noworodków. Minie wiele dni, zanim wrócę na położniczy.

– Wiem. Miałaś odebrać dziecko pani Nguli, ale musiała mieć cesarskie cięcie. Puls płodu był bardzo słaby. Nie mogliśmy ryzykować.

Stażystka pokiwała głową.

– Wiem, siostrze. Cieszę się, że dziecko jest zdrowe, ale ja czuję się... oszukana.

– Rozumiem, co czujesz. Ale przecież będziesz z nami jeszcze przez parę dni. Obiecuję, że odbierzesz jakiś poród.

A jednak z upływem czasu wydawało się to coraz bardziej wątpliwe. Tak się akurat złożyło, że kobiety rodziły nocami, a w dzień, gdy w szpitalu przebywały stażystki, odbierano tylko trudne porody. W końcu Joanna zwróciła się z prośbą praktykantki do Jake'a O'Connora.

– Zgoda, siostrze – odparł, kiedy oznajmiła mu, że Thandi chce asystować przy porodzie i zwrócił się do stażystki: – Pani Grant będzie rodzić lada chwila. Niestety, mamy tu do czynienia z przodowaniem pośladkowym i mogą być problemy. Ale przy siostrze Boyd wiele się można nauczyć. No więc zajrzyjmy do naszej pacjentki.

Uśmiechnął się i zerknął na Joannę, jakby lekko rozbawiony jej milczeniem. Obie ze stażystką podążyły za nim do łóżka pani Grant.

– On jest super, prawda? – Thandi szepnęła Joannie do ucha. – Wszyscy tak mówią.

Z wyjątkiem mnie, dodała w myślach Joanna. Ale tylko ja wiem, jaki on jest naprawdę.

I po raz kolejny od tamtego wieczoru, kiedy odbyło się przyjęcie, pożałowała, że nie odkryła przed nim kart. Coraz bardziej pragnęła, by Jake dowiedział się, co ona o nim myśli. Chciała, by się przekonał, że tylko traci czas, próbując ją oczarować, ponieważ ona wie, jak potraktował zakochaną w nim dziewczynę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jake O'Connor zatrzymał się, odwracając w kierunku Joanny i praktykantki.

– No dobrze... Zanim zbadamy panią Grant, posłuchajmy, jak siostra przekazuje wiedzę swojej podopiecznej.

Powiedział to poważnym tonem, jednak nie miała wątpliwości, że Jake z trudem powstrzymuje śmiech. Mimo to posłusznie zwróciła się do dziewczyny:

– Na jakie zagrożenia wystawione jest dziecko w przypadku przodowania pośladkowego?

– Uszkodzenie czaszki, niedotlenienie narządów i tkanek, przekrwienie żyłne, zacisk pępowiny – wyrecytowała Thandi.

Joanna z uznaniem przytaknęła.

– Widzę, że zapoznałaś się już z podręcznikiem – powiedziała i spojrzała na Jake'a. – Wystarczy, doktorze O'Connor? Zazwyczaj dzielę się spostrzeżeniami z praktykantkami podczas badania pacjentek, teraz jednak chyba pan mnie wyręczy?

Zerknął na nią rozbawiony, a ona zaczerwieniła się po uszy.

– Racja, siostrze – odrzekł.

Jeden zero dla mnie, pomyślała. Teraz twoja kolej, Jake. Zobaczymy, czy uda ci się zauroczyć pacjentkę.

– Pani Grant, przyszliśmy zobaczyć, co u pani słyhać. – Pewnymi ruchami badał kobietę leżącą na łóżku. Joanna przypatrywała się temu z mimowolnym podziwem. Po chwili Jake zwrócił się do niej: – Teraz

przeprowadzę badanie wewnętrzne. Siostrze, poproszę o rękawiczki.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Miała teraz przed sobą lekarza, którego uwagę zaprzętała wyłącznie pacjentka.

– Czy dziecko jest ostatnio bardzo aktywne, pani Grant? Kobieta skinęła głową.

– No pewnie, doktorze. To moje trzecie. Poprzednie tak nie kopały. Mój mąż mówi, że na pewno urodzę piłkarza.

Jake, uśmiechając się, powiedział do Joanny:

– . Płód samodzielnie przyjął w łonie matki odpowiednią pozycję, a więc nie mamy już przodowania pośladkowego. Dziecko jest obecnie skierowane główką w dół, a więc poród powinien być szybki i łatwy.

Joanna odwzajemniła jego uśmiech. Młoda Thandi już się zorientowała, co oznaczają słowa lekarza. W jej ciemnych oczach zabłysła radość.

– Pani Grant – rzekł Jake – ten mały piłkarz postanowił nie sprawiać nam kłopotu. Wkrótce przeniesiemy panią na salę porodową. Siostrze?

Joanna ruszyła za Jakiem, podczas gdy Thandi zaczęła masować plecy przyszłej matki i przemawiać do niej ciepło.

– Chce siostra zapytać, czy Thandi może odebrać ten poród, prawda? – zapytał Jake.

– To jej marzenie. Poród powinien odbyć się bez zakłóceń. Oczywiście, będę pilnowała – zapewniła Joanna.

– Nie mam zastrzeżeń – odparł Jake. – Polegam na twoich umiejętnościach. – Zerknął na zegarek. – Będę na zebraniu, ale w razie konieczności możesz mnie wezwać.

Kiedy odchodził, patrzyła na jego wysoką sylwetkę, ciemne włosy i

rozwiany kitel. Zmieszała się, gdy nagle odwrócił się przy windzie i pomachał jej na pożegnanie. Teraz się pewnie śmieje, bo zauważył, że na niego patrzy, pomyślała zła na siebie. Zaczekała, aż Thandi poprawi poduszki, a następnie wezwała ją do gabinetu.

– Jeśli nic się nie zmieni, dziecko jest twoje – oznajmiła. Twarz dziewczyny pojaśniała.

– Och, siostrze, liczyłam na to od chwili, kiedy doktor O'Connor powiedział, że nie będzie komplikacji.

Pół godziny później Joanna po raz ostatni zbadła panią Grant i zwróciła się do Thandi, która ledwo panowała nad podnieceniem:

– Wszystko w twoich rękach. Stażystka poradziła sobie wyśmienicie.

– Oto pani mały piłkarz, pani Grant! – zawołała Thandi triumfalnie. – Jaki śliczny!

Przydałoby się nieco zawodowego dystansu, pomyślała Joanna, skrywając uśmiech. Sama pamiętała emocje, jakie towarzyszyły pierwszemu porodowi, który odbierała.

– To było cudowne – stwierdziła potem Thandi. – Trzymałam w rękach noworodka i podałam go matce... Fantastyczne!

– Coś ci powiem, Thandi. – Joanna wzięła kubek z kawą z rąk stażystki. – To zawsze jest wspaniałe. Ja po tylu latach przy każdym porodzie czuję się podobnie jak za pierwszym razem.

– Mogę powiedzieć to samo o sobie, siostrze – rzucił od drzwi Jake O'Connor z poważną miną. – Wpadłem, żeby zapytać, jak poszło.

– Rewelacyjnie, panie doktorze – odparła przejęta Thandi. – Dziękuję, bardzo dziękuję! – I nagle zmieszała się i wybiegła z pokoju.

Jake spojrział na Joannę, unosząc nieco brwi.

– Napije się pan kawy, doktorze? – spytała. Uprzejmość za uprzejmość, zresztą lekarzowi należy się chwila wytchnienia. Podała mu kubek z gorącym płynem. Kiedy go odbierał, ich dłonie zetknęły się na moment, Joanna szybko cofnęła rękę.

– Zastanawiam się, czy to może coś w rodzaju gałązki oliwnej – powiedział, upijając łyk.

– To tylko kawa – rzuciła chłodno.

Tylko kawa, powtórzyła w myślach, gdy odszedł. Podziwiała go jako lekarza, lecz nie zmieniła zdania o jego charakterze.

Dzień lub dwa później wychodziła ze szpitala tuż po drugiej. Obok niej zatrzymał się samochód.

– Może cię podwieźć? – zaproponował Jake.

– Mam niedaleko – odparła.

– Wiem, ale dziś jest gorąco. Poza tym trochę głupio tak się spierać na ulicy, prawda?

Racja. Dostrzegła ironiczne spojrzenia przechodzących akurat obok dwóch pielęgniarek i zdecydowała się wsiąść do samochodu.

– Widziałaś już obelisk Rhodessa? – spytał Jake trochę niespodziewanie. Zawrócił na kolejnym skrzyżowaniu i skierował się w stronę pobliskiego wzniesienia. – Nie obawiaj się, Joanno, nie mam złych zamiarów. Widok stamtąd jest piękny. Podają tam też herbatę i ciastka, które po prostu rozpływają się w ustach.

Joanna odzyskała już panowanie nad sobą i postanowiła być chłodna i nieprzystępna.

– Jedno chciałabym wiedzieć. Trzeba mieć tupet, doktorze O'Connor,

żeby zakładać, że nie mam na dziś innych planów. Chyba zbyttnio wierzy pan w swój irlandzki urok.

W jego oczach zabłyśły iskierki rozbawienia. Nim odpowiedział, zjechał z głównej szosy i skierował się w stronę zalesionej bocznej drogi, biegnącej po zboczu góry.

– Przyznaję, nie brakuje mi tupetu. Założyłem, że nie wybierasz się na randkę. Pochodzę z BalianTony, miasteczka na południe od Dublina, i nigdy nie sądziłem, że jestem nadzwyczajny. Ale zawsze miło usłyszeć coś dobrego o sobie.

Wjechali na szczyt wzniesienia i Jake zatrzymał samochód. Joanna wysiadła, nie czekając, aż otworzy jej drzwi.

– Lubię to poczucie niezależności u kobiet – powiedział, ale zignorowała jego uwagę.

Powiem mu, pomyślała, powiem mu teraz. Jake jednak ją wyprzedził i zaczął wspinać się po nierównych schodach.

– Nadjeżdża autokar z turystami – rzucił przez ramię. – Prędezej, musimy zająć stolik z dobrym widokiem.

Kiedy dochodziła do drewnianej nutki, on już siadał przy stoliku nakrytym jaskrawym obrusem i osłoniętym przed słońcem wielkim parasolem.

– Uwielbiam jadać pod gołym niebem – oznajmił. – Weźmiemy babeczki z dżemem i bitą śmietaną, czy może wolisz coś innego?

Rozejrzała się wokół i uznała, że to nie miejsce na osobiste wynurzenia.

– To nasz szpital – wskazał na odległy wielki budynek – a za miastem widać morze.

Joanna spojrzała na pobliskie zielone stoki.

– Co to za stworzenia? – spytała z nagłym przejęciem. Jake podążył wzrokiem za jej palcem.

– Antylopy i zebry. Nie brak tu dzikich zwierząt. Są też węże. Znasz tę piosenkę? – zapytał i ciepłym barytonem zaśpiewał: – „Jestem wąż, a wąż to jaszczurki mąż...”

– Znam, znam – odparta szybko, zadowolona, że kelner przyniósł wreszcie herbatę i ciastka.

Turyści niemieccy rozsiedli się przy sąsiednich stolikach. Zachowywali się dosyć hałaśliwie i Joanna straciła okazję, by przejść do rzeczy. Wkrótce we dwoje opuścili herbaciarnię i ruszyli ku kamiennemu obeliskowi.

– „Silny i wytrwały duch...” – Jake odczytał cicho fragment inskrypcji, upamiętniającej Cecila Johna Rhodesa. Po chwili położył dłonie na ramionach Joanny i delikatnie obrócił ją w drugą stronę. – A teraz coś wyjątkowego – dodał półgłosem.

Znajdowali się u szczytu kamiennych schodów, po bokach których spoczywały wielkie, kamienne lwy. Poniżej stał pomnik mężczyzny, który siedział na koniu, wyciągając w górę rękę.

Cały ten kompleks, wzniesiony na cześć Rhodesa, był tak wspaniały, że Joanna zaniemówiła. Miała teraz przed sobą panoramę Kapsztadu. Morze lśniło błękitnym blaskiem, w zatoce bieleły się żagle jachtów.

Była tak przejęta wspaniałością widoku, że na ostatnim schodku się potknęła. Jake podtrzymał ją. Znalazł się naraz tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na swoim policzku. I wtedy przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej.

– Pragnąłem tego od dawna – powiedział cicho i pocałował ją w usta.

Poddała się na chwilę jego woli, bezwiednie go objęła, po czym wyrwała się, wstrząśnięta własną reakcją.

– Ja też pracowałam w szpitalu św. Małgorzaty – wyrzuciła . z siebie niespodziewanie – i znałam Helen. Widziałam się z nią w dniu, w którym ją rzuciłeś. Widziałam, jaka była załamana.

Jake cofnął się natychmiast.

– A więc o to chodzi – rzekł spokojnie. – Dlatego traktowałaś mnie tak chłodno. Uznałaś mnie za lekarza, który uwodzi pielęgniarki, tak?

Joanna patrzyła na niego wyzywająco.

– Dawno temu wyrobiłaś sobie zdanie na mój temat – podjął – i kiedy znowu mnie spotkałaś, utwierdziłaś się w przekonaniu, że wszystko o mnie wiesz. Prawda, Joanno?

– Owszem – odparła, podnosząc głowę. I w duchu dodała: znałam kiedyś kogoś takiego jak ty. Kochałam go i ufałam mu, a on potraktował mnie tak jak ty Helen.

Niespodziewanie Jake się uśmiechnął, ale jego oczy pozostały chłodne.

– Na szczęście znajomość męskich charakterów chroni cię przed takimi draniami jak ja, co? Tylko dlaczego mnie pocałowałaś?

– To ty mnie pocałowałaś.

– Dlaczego więc tak gorąco odwzajemniłaś mój pocałunek i pozwoliłaś się obejmować? Chyba nie miałaś nic przeciwko temu.

Na to nie była w stanie odrzec nic sensownego.

– Odwiozę cię – rzucił szybko i ruszył z powrotem na – king, gdzie zostawili samochód.

W drodze powrotnej nie odzywali się do siebie. Joannie zbierało się na

płacz, ale za żadne skarby nie chciała, by Jake zobaczył jej łzy. Kiedy zatrzymał się przed jej domem, poczuła, że musi mu coś powiedzieć.

– Dziękuję ci – wydusiła niepewnym głosem.

– To zbyteczne w tych okolicznościach.

Popatrzył na nią. Siedziała bez ruchu, starając się za wszelką cenę nie ujawniać mu żalnego stanu swego ducha. Nie pozwalała jej na to duma.

– Mam gdzieś – zaczął lodowatym głosem – staroświeckie poglądy na temat zrywania zaręczyn. Zresztą, to nie twoja sprawa. Denerwuje mnie natomiast, że nie znając mnie, usłyszawszy tylko wersję jednej strony, wyrobiłaś sobie opinię na mój temat. Nie lubię, kiedy ocenia się ludzi w ten sposób, siostró Boyd. – Przechylił się na bok i otworzył jej drzwi. – Dziękuję jednak, że przyjęłaś moje zaproszenie – dodał z ręką na klamce. – Przekonałaś mnie, że mój urok na ciebie nie działa i nie mam co marnować czasu na kolejne spotkania z tobą.

A jednak będziemy spotykali się w pracy, pomyślała ponuro, kiedy wchodząc do ogródka, usłyszała pisk opon odjeżdżającego samochodu Jake'a.

W domu było, na szczęście, pusto. Joanna zaparzyła sobie herbatę i usiadła w bujanym fotelu na werandzie. Powoli rodziła się w jej myślach świadomość, że Jake mógł mieć rację. Rzeczywiście – z góry go zaszufładowała. Pamiętała Helen, jej zapłakane oczy, opuchniętą twarz, ale... On ma rację, skonstatowała gorzko. To nie mój interes.

Niby tak, ale przecież nie wolno ranić ludzi w ten sposób. Ktoś musiał mu to powiedzieć. I ja to zrobiłam. No i dobrze. Mam w nosie jego słowa o marnowaniu na mnie czasu. Dzięki za szczerość, doktorze O'Connor, lubię jasne sytuacje.

A jednak tej samej nocy wróciło do niej wspomnienie jego „ust, jego silnego ciała. Odwzajemnionego pocałunku.

To chwilowe zauroczenie, powiedziała sobie. Iskra... Krótka fascynacja. Drobiazg, nic poza tym. Problem w tym, że nadal będziemy razem pracować, co od tej pory może być trudne.

Nazajutrz w pracy zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie się martwiła. Jake O'Connor okazał się profesjonalistą – ściśle oddzielał sprawy zawodowe od życia prywatnego. Nikt nie odgadłby, że spotkali się dzień wcześniej poza szpitalem.

– Pacjentka o nazwisku September właśnie została wpisana do rejestru – powiedział, przeglądając karty przed obchodem oddziału z Joanną i siostrą Kenton. – Czy to nie ta, której sugerowaliśmy przerwanie ciąży w związku z chorobą nerek?

Siostra Kenton przytaknęła.

– Nie zgodziła się ze względu na swoje przekonania religijne, chociaż powiedział jej pan, że ciąża w jej przypadku może stanowić śmiertelne ryzyko. Doktor Rajbansi badał ją w zeszłym tygodniu w poradni i nalegał na bezzwłoczne przyjęcie do szpitala.

Jake westchnął.

– W porządku. Będziemy jej pilnować. Zalecam dla niej dietę ubogą w sód i potas. Stan płodu będę kontrolował na bieżąco przy pomocy ultrasonografu. Na razie tylko tyle możemy zrobić.

– A jeśli wzrośnie gwałtownie poziom mocznika lub surowicy potasowej we krwi? Co wtedy? Dializa? – spytała Joanna, a Jake skinął głową.

– Postaramy się jednak do tego nie dopuścić – dodał, i w tej samej

chwili zadzwiezczał jego pejdzer. – Obejdę oddział później. Powierzam pacjentkę siostram.

Uśmiechnął się ciepło do pani Kenton, odwrócił się i wy– Coś dręczy tego młodego człowieka – stwierdziła siostra. – Nie Ładzi pani, siostró Boyd? Joanna zajęła się porządkowaniem kart.

– Niezbyt dobrze go znam – odparta ostrożnie. I zgodnie z prawdą.

Za to lepiej zaczynała poznawać swoje współlokatorki. Była coraz bardziej przekonana, że pomysł w wynajęciem domu okazał się trafiony. Rose Hill była spokojną, poważną dziewczyną, z wielką odpowiedzialnością traktującą swoje obowiązki. Zaręczyła się z młodym lekarzem, Andrew Mortonem, który niedawno podjął praktykę w klinice w Kimberley, gdzie pracował jego ojciec.

– Kiedy odłożymy trochę grosza, pobierzemy się i załatwię sobie pracę w tamtejszym szpitalu – Rose opowiedziała o tym Joannie pewnego ranka, gdy obie miały wolne i piły kawę na werandzie.

– Dlaczego nie wyjedziesz do Kimberley już teraz? Widzę, że tęsknisz za Andrew. Moglibyście zamieszkać razem jeszcze przed ślubem.

Rose spąsowiwała.

– Musimy się najpierw pobrać. Moja matka jest sama, a rodzice Andrew nie zarabiają wiele, więc nikomu nie możemy siedzieć na głowie. Zresztą nasi staruszkowie są dosyć staroświeccy i nie lubią nowych obyczajów. A więc fakt, że na razie oboje mieszkamy osobno, w pewien sposób wszystko upraszcza. – Dołała sobie kawy i dodała: – Resztę życia spędzimy razem. Warto trochę zaczekać.

Dobrze jest mieć taką pewność, pomyślała Joanna. Sama była ciekawa, czy kiedyś pozna człowieka, który stanie się jej przeznaczeniem.

Przypomniała sobie, jak mówiła kiedyś do Dorothy, że nie czuje się romantyczką – jeśli pozna pewnego dnia kogoś, z kim się dogada, to będzie dobrze.

– A ty, Joanno? – zagadnęła Rose. – Myślisz o kimś?

– O nikim szczególnym – przyznała i poklepała przyjaciółkę po ramieniu. – Ale nie martw się o mnie. W piątek Trevor zabiera mnie do teatru, a w przyszłym tygodniu idę na przyjęcie z Davidem i Dorothy. Nigdy nie wiadomo... Może kogoś spotkam.

– David i Dorothy... – zadumała się Rose. – Myślę, że Dorothy otrząsnęła się już z zauroczenia Jakiem O’Connorem i patrzy na świat trochę realniej. Jak ci się zdaje?

– David to facet dla niej. Doktor O’Connor pożera takie kotki jak Dorothy na śniadanie.

Zabrzmiało to bardzo sarkastycznie. Joanna poczuła, że się czerwieni, gdy Rose na nią spojrzała i spytała:

– A kotid takie jak ty? Joanna pokręciła głową.

– Uwierz mi: nic z tego. Wiesz przecież, co sądzę o lekarzach, którzy myślą, że są obiektem westchnień wszystkich pielęgniarek.

– Ja widzę go w inny sposób – powiedziała Rose. – On chyba po prostu lubi ludzi, no tak, zwłaszcza kobiety, i jest w naturalny sposób...

– Uroczy? – podsunęła Joanna ironicznie. – Widziałam, jak on robi użytek z tego uroku. Uważa, że jego irlandzki akcent otwiera przed nim serca wszystkich kobiet. – Wstała i zmieniła temat. – Chcę dziś zwiedzić słynne Kirstenbosch. Dotąd nie interesowały mnie zbytnio ogrody botaniczne, ale ciągle słyszę, że to miejsce warto zobaczyć. Chcesz wybrać się ze mną?

– Dzięki, ale mam do napisania parę listów. Ty jednak pojedź tam koniecznie. Zwróć uwagę na żywopłot z migdałowców, zasadzony jeszcze przez Jana van Riebeecka. I tę alejkę wśród drzew kamforowych.

Joanna na miejscu przekonała się, że przyjaciółka miała rację. Wielkie stare drzewa, rozsiewające aromatyczną woń, Tzucwały cień na drogę, po której się przechadzała. W ogrodzie nie było wielu zwiedzających, panowała cisza i spokój. Skreśliła w ścieżkę biegnącą wzdłuż strumyka i natknęła się na drewnianą ławkę z tabliczką, upamiętniającą zmarłą przed pięcioma laty młodą kobietę. Przysiadła na chwilę, rozmyślając o mężu i córkach zmarłej. A ponieważ ona sama nadal czuła ból po stracie matki, ten rozległy ogród przywołał wspomnienia małego ogródka przy rodzinnym domu. Do oczu napłynęły jej kojące łzy.

Ruszyła potem inną ścieżką. Po chwili dostrzegła pośrodku stawu na skale małą figurkę wydry z brązu, która do złudzenia przypominała żywe zwierzątko. Stworzeniu przyglądała się zaciekawiona dziewczynka, stojąca na kamiennym murku okalającym staw. Wreszcie jakiś mężczyzna wziął dziecko na ręce, nie chcąc dopuścić, by mała wpadła do wody.

– Już wystarczy, Cathy – powiedział. – Nie mam ochoty skakać ci na ratunek.

Och, nie, zmieszła się nagle Joanna, gdy mężczyzna z dziewczynką w ramionach odwrócił się w jej stronę. Było już za późno, by się wycofać.

– O! – zawołał na widok Joanny.

Ona zaś z pewną satysfakcją zauważyła, że i on wyglądał na nieco zbitego z tropu.

– Tam jest bardzo płytko, a ja umiem pływać – powiedziała

dziewczynka. Uśmiechnęła się do Joanny, ukazując szparę po zębie. – Czy znasz tę panią, wujku?

Wujek. Oczywiście, pomyślała Joanna, to nie może być jego dziecko. Miała już rzucić jakąś zdawkową uwagę, odwrócić się i odejść, kiedy naraz zobaczyła po drugiej stronie stawu kobietę na wózku inwalidzkim. Wyglądała na matkę dziewczynki: miała takie same rysy i jasne, kręcone włosy. Uśmiechała się też podobnie, tylko może bardziej nieśmiało.

– Dzień dobry – odezwała się kobieta. – Jake, przedstaw mnie swojej znajomej.

Jake postawił dziecko na ziemi.

– To jest Joanna Boyd, Alice. Pracuje w naszym szpitalu.

– Spojrzał Joannie w oczy, a po jego twarzy przemknął grymas niechęci. – Kiedyś pracowaliśmy razem w Londynie, chociaż wtedy się właściwie nie znaliśmy. Prawda, Joanno?

– Prawda – odparła, licząc skrycie, że jej głos zabrzmiał równie chłodno jak jego.

– Mąż Alice to mój kuzyn – wyjaśnił formalnym tonem.

– I dlatego on jest moim wujkiem – wtrąciła mała Cathy.

– Tatuś i wujek lubią się jak bracia, prawda, wujku?

Jake zerknął z góry na dziecko.

– Racja, Catiry – przyznał.

– Wybieraliśmy się właśnie na herbatę – rzekła Alice. – Przyłączysz się do nas? Odwiedzając to miejsce, trzeba wpaść do kawiarni.

Jake poczuł na sobie wzrok kuzynki.

– O, tak. Kirstenbosch, obelisk Rhodesa. Takie rzeczy trzeba zobaczyć.

– Proszę z nami pójść, Joanno – powiedziała Alice.

I już po chwili Joanna szła obok pchanego przez Jake'a wózka inwalidzkiego, przed którym biegła Cathy. Alice zaczęła opowiadać, że mieszka z córeczką w Stellenboschi i wybrała się do Kapsztadu do lekarza.

– Zawsze się spotykamy z wujkiem, kiedy tutaj przyjeżdża

my – zawołała Cathy, podbiegając do matki. – Czy dostanę tamtego dużego loda, wujku?

– Jeśli twoja mama pozwoli – odrzekł Jake, biorąc małą za rączkę. Uśmiechnął się do dziecka, a Joannę pomimo wszystko poruszył ten widok. Jakoś nie pasował do obrazu Jake'a utrwalonego w jej pamięci.

W kawiarence zamówili herbatę i ciastka oraz lody dla Cathy.

– Urocze miejsce – przyznała Joanna, spoglądając na trawniki, grządki kwiatów, drzewa i krzewy, po czym dodała, wspominając słowa Rose: – Nie widziałam jeszcze migdałowców.

– Są fascynujące – powiedziała Alice – ale ścieżka, przy której rosną, jest za stroma dla mojego wózka.

Alice nie miała zamiaru wzbudzać swymi słowami współczucia, niemniej Joanna uległa dziwnemu impulsowi i położyła rękę na dłoni kobiety.

– Tu jest przepięknie – rzekła pospiesznie – ale pewnie w tej okolicy jest jeszcze wiele cudownych miejsc. Kapsztad to wspaniałe miasto.

– A więc jesteś tu od niedawna? – zapytała Alice, a nieco zaskoczona Joanna wyjaśniła, że miała przyjechać już rok temu, lecz musiała zmienić plany w związku z chorobą matki.

– Czy już wyzdrowiała? – spytała Alice.

– Umarła.

– Och, Joanno, tak mi przykro. – Błękitne oczy Alice napełniły się

łzami. – Moja matka zmarła przed sześcioma laty. Wiem, co czujesz. To mądrze z twojej strony, że porzuciłaś przykre wspomnienia. – Po czym zwróciła się do Jake’a: – Musisz przywieźć Joannę na naszą farmę. Jeśli będziecie mieć wolne w przyszły weekend, wpadnijcie do nas na lunch.

– W przyszły weekend będę zajęty – odrzekł szybko Jake. Spojrzał na Joannę i, o dziwo, wydawał się niezadowolony, że musi odrzucić zaproszenie kuzynki.

– W takim razie sami ustalcie datę – oświadczyła Alice.

– Cathy, nie wpychaj na siłę tego loda. Jest za duży.

– No właśnie – przytaknęła dziewczynka. – Wujku Jake, chcesz dokończyć mojego loda? A ty, Joanno? Następnym razem kupicie mi mniejszego.

– Dobrze. – Jake zerknął na zegarek. – Musimy się zbierać, Alice. Za pół godziny masz wizytę.

– Rzeczywiście, musimy się pospieszyć – przyznała Alice.

– Jake, obiecaj, że wpadniecie do nas niedługo.

Joanna dostrzegła u Jake’a wahanie i nieco wymuszony uśmiech.

– Oczywiście – zapewnił. – No, Cathy, pędem do samochodu. – I dodał formalnym tonem: – Do widzenia, Joanno.

– Do zobaczenia – mruknęła, trochę oszołomiona niespodziankami, które spotkały, ją tego dnia.

Pospacerowała jeszcze chwilę wśród pięknych rezed, podziwiając kamienne rzeźby z Zimbabwe ustawione wzdłuż deptaków i na trawnikach. Wydawało się jej, że Jake nie sprawiał wrażenia zachwyconego dzisiejszym spotkaniem. Pewnie jakoś się wykręci od zaproszenia do Alice.

A jednak czuła z tego powodu lekki zawód, bo od razu polubiła tę kobietę na wózku inwalidzkim. Miała ochotę lepiej ją poznać. Nawet bez pomocy Jake'a, dodała w myślach.

Joanna nie oczekiwała, że spotkanie w ogrodzie botanicznym wpłynie w jakikolwiek sposób na jej relacje z Jakiem. Okazało się, że miała rację. W pracy był uprzejmy i konkretny – jak zawsze. I niech tak pozostanie, powiedziała sobie, kiedy Jake podziękował jej za zaparzenie kawy i dodał, że niebawem wróci, aby przebadać jedną z pacjentek.

– Ależ jesteście dla siebie oficjalni – zauważyła Dorothy. – Ta wasza angielska ogłada! On się z tobą nie droczy, choć czasem żartuje nawet z siostrą Kenton.

– Nie rozpaczam z tego powodu – odparła szczerze Joanna.

– Czy nie wydaje ci się to trochę dziwne? – Dorothy zastanowiła się przez moment. – Pode mną uginają się nogi, kiedy on się do mnie uśmiecha, ale chyba z kimś takim nie potrafiłabym żyć na co dzień. Wolałabym kogoś bardziej... zwyczajnego.

– Na przykład Davida? Dorothy wzruszyła ramionami.

– Może. A może nie. W każdym razie musisz przyznać, że jest świetnym lekarzem. Jake, oczywiście, nie David.

– Wiem. – Nie miała co do tego wątpliwości. Im dłużej pracowała z Jakiem, tym bardziej ceniła jego fachowość.

Nazajutrz, po powrocie z lunchu, natknęła się w gabinecie na Jake'a i siostrę Kenton, przeglądających karty pacjentek.

– O, siostra Boyd. – Pielęgniarka podniosła wzrok. – Doktor O'Connor przyjął właśnie pacjentkę z kardiologii i chce, żeby siostra asystowała przy jej porodzie.

Joanna wyszła za Jakiem na korytarz. Zapoznał ją pobieżnie ze stanem zdrowia kobiety o nazwisku Dladla.

– Dostała środek uspokajający, diazepam, ale chyba zaaplikuję jej też dawkę morfiny – wyjaśnił. – Nie można pozwolić, żeby organizm nadmiernie się nawodnił. Proszę kontrolować stan sinicy i nie dopuścić do wzrostu tętna powyżej stu dziesięciu na minutę.

Znaleźli się w jednej z bocznych sal. Jake pochylił się nad łóżkiem i natychmiast zmienił ton, przemawiając do czarnoskórej pacjentki głosem ciepłym i ojcowskim.

– Pani Dladla, przepraszam, że zakłócam odpoczynek, ale chciałbym przedstawić siostrę Boyd, która się panią zajmie.

Młoda czarnoskóra kobieta spojrzała Joannie w oczy i uśmiechnęła się słabo.

– Doktor powiedział, że już nie będę mieć dzieci. Teraz chcę dziewczynkę, bo mam dwóch chłopaków.

Joanna poklepała ją po dłoni.

– Nie mamy wpływu na płęć dziecka – powiedziała – ale zapewniam, że zatroszczymy się o panią i noworodka.

– Teraz proszę odpoczywać – odezwał się Jake. – Będę tu zaglądał co jakiś czas.

Na korytarzu zwrócił się do Joanny z troską w oczach:

– Nie powinna mieć tego dziecka, ale skoro już tak się stało, należy kontrolować stan jej serca. Proszę mnie wezwać, kiedy zacznie się właściwy poród. Ściągniemy na wszelki wypadek doktora Wilsona z kardiologii. A na razie trzeba jej zapewnić stały dopływ tlenu i pozwolić przyjmować każdą pozycję, w jakiej jest jej wygodnie. Nie powinna przeć.

Jej serce tego nie wytrzyma. Cesarskie cięcie też jest wykluczone. Posłużymy się kleszczami. Trzeba przygotować wszystko do znieczulenia, tlenek azotu plus tlen. Jasne?

Joanna potwierdziła skinieniem głowy.

– Zadbam o wszystko i kiedy zacznie się druga faza porodu, dam znać.

– Dzięki – odparł trochę mniej oficjalnym tonem.

Pewnie dlatego, że myśli teraz tylko o czarnoskórej pacjentce, uświadomiła sobie Joanna. Jego oddanie pracy budziło szczere uznanie.

Parę godzin później, gdy pani Dladla zaczęła rodzić, Joanna wezwała Jake'a i doktora Wilsona.

– Na razie wszystko w porządku – stwierdził Jake, zbadawszy pacjentkę. – Nie sądzę, żeby poród trwał zbyt długo.

Jednak Joanna zauważyła, że obaj lekarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy doktor Wilson zajął się rodzącą, Jake odwołał ją w kąt sali.

– Być może konieczna okaże się transfuzja krwi, żeby odciążyć krwiobieg – powiedział cicho. – A także środki uspokajające już po porodzie. Grozi jej zapaść, kiedy krew z macicy napłynie z powrotem do żył. To zbyt duże obciążenie dla jej serca.

Joanna zapewniła go, że wzięła to pod uwagę, po czym wrócili do pani Dladla, u której zaczęło działać już znieczulenie.

– Dziecko musi się urodzić teraz – oznajmił doktor Wilson, zerkając na monitor rejestrujący pracę serca. – Każda chwila jest cenna.

Jake kiwnął głową.

– Zrobię nacięcie. Potrzebne będą kleszcze;

Joanna sprawnie podawała lekarzowi niezbędne narzędzia. Jake

fachowo i delikatnie wydobył z łona dziecko, które oddał położnej. Pani Dladla wydała na świat dziewczynkę.

Jake spojrzał Joannie w oczy.

– Dziecku już nic nie grozi – rzekł napiętym głosem. – Teraz musimy zająć się matką.

Dwaj najlepsi lekarze w szpitalu, pomyślała Joanna. I jaz nimi. Chociaż nadał niepokoił ją stan pacjentki, poczuła dumę, że wchodzi w skład tak znakomitego zespołu medycznego.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Lekarze szybko się naradzili i Jake wstrzyknął młodej matce ergometrynę, aby przyspieszyć obkurczanie się macicy i by powstrzymać krwawienie.

– Nie wolno dopuścić do nadmiernej utraty krwi. – Jake zerknął na monitor, podobnie jak jego kolega. – I co o tym sądzisz? – spytał doktora Wilsona.

– Najgorsze ma już za sobą – odrzekł kardiolog i zwrócił się do Joanny:  
– A jak tam dziecko?

– W skali Apgara osiem punktów – odparła.

Jake wziął na ręce niemowlę, które nagle uspokoiło się, jakby poczuło się bezpieczne. I znowu Joannę ogarnęło znane jej uczucie dziwnego rozczulenia na widok noworodka tuż po porodzie. Jake przypatrywał się dziecku z radością i satysfakcją i Joannie zdawało się, że widok ten zupełnie nie pasuje do obrazu doktora O'Connora, jaki tkwił w jej pamięci. Podniósł oczy i przelotnie uśmiechnął się do niej, zadowolony, że wszystko poszło dobrze. Joanna odwzajemniła jego uśmiech.

Chwilę później jednak spojrzenie Jake'a znowu stało się chłodne i powędrowało gdzieś w bok.

– Przez kilka godzin będziemy trzymać matkę pod ścisłą obserwacją – powiedział do doktora Wilsona. – Potem przeniesiemy ją na kardiologię. Kiedy będziesz operował?

Odeszli od łóżka, by pani Dladla nie mogła ich słyszeć. Powoli odzyskiwała przytomność po narkozie.

– Chciałbym możliwie szybko. Myślę, że bypassy są dla niej szansą. Dzięki nim zdoła odchowić dziecko.

Przed wyjściem z sali Jake odwrócił się do Joanny.

– Wpadnę do niej zaraz po obchodzie, ale gdyby coś się działo, proszę wezwać mnie wcześniej, siostró Boyd. – Zawahał się i dodał: – Dzięki za pomoc... Dobra robota.

Był to komplement lakoniczny, stereotypowy, ale zawsze komplement. Pochwały Jake'a dużo dla niej znaczyły. To dlatego, że jest takim dobrym lekarzem, myślała, gdy z koleżanką przewoziły panią Dladla na oddział intensywnej opieki medycznej. Tam pacjentką zajęła się pielęgniarka z kardiologii, przysłana przez doktora Wilsona. Córeczkę pani Dladla przeniesiono na oddział noworodków.

Gdy były już przy drzwiach, kobieta nagle otworzyła oczy.

– Moje dziecko? – spytała z niepokojem.

– Pani córka ma się świetnie – zapewniła Joanna. – Niedługo ją pani przyniosę.

Na korytarzu zwróciła się do koleżanki:

– Powinna zobaczyć dziecko, zanim dowie się o operacji. Będzie wtedy spokojniejsza. Naprawdę wierzę, że pozytywne myślenie odgrywa w leczeniu dużą rolę.

Joanna nagle poczuła się wyczerpana po asyście przy tym bardzo (rudnym porodzie. Właśnie robiła sobie kawę, gdy do pokoju wszedł Jake.

– Pewnie jesteś tak zmęczony jak ja – powiedziała, nim zdała sobie sprawę, że zabraniało to zbyt bezpośrednio. Dostrzegła cienie pod jego oczami i znużone rysy twarzy. Podała mu kawę.

– Dzięki – odparł. – Bałem się, że ona tego nie przetrzyma. Jeszcze nie

miałem pacjentki tak poważnie chorej na serce.

Wypił kawę i usiadł wygodnie na krześle, przymykając oczy i zakładając ręce za głowę. Joannę ogarnęła naraz dziwna ochota, by podłożyć mu poduszkę pod kark i podsunąć stołek pod stopy.

Uchylając powieki, dostrzegł, że mu się przygląda. Poczula się skrepowana i szybko odstawiła kawę.

– Muszę wracać na oddział. – Jej słowa zabrzmiały sztucznie, niezręcznie.

– Byłem u pani Dladla. Chciałem jej powiedzieć, że z dzieckiem wszystko w porządku, ale spała i siostra Jones poinformował mnie, że chora wie już o tym od ciebie.

Gdy wstał, Joanna odprowadziła go do drzwi, mówiąc, że chciałyby niedługo przynieść dziecko matce.

– Słusznie – uznał. – Lepiej żeby poszła na operację w dobrej formie psychicznej.

Zniknął na zakrętem korytarza, a Joanna wróciła na oddział. Wciąż miała w pamięci tę chwilę, gdy oboje zapomnieli o wzajemnej wrogości. Zrobiło się wtedy znacznie przyjemniej.

Następnego dnia jednak znowu rozmawiali z sobą chłodno i rzeczowo, wyłącznie na tematy zawodowe. Jake poinformował ją o udanej operacji pani Dladla, lecz zrobił to tak, jakby zupełnie nie pamiętał o dramatycznej walce o jej życie, którą wspólnie stoczyli dzień wcześniej. Bliskość, jaka wytworzyła się między nimi, znikła całkowicie.

Przecież sama chciałam, żeby łączyły nas wyłącznie kontakty zawodowe, powtarzała sobie, przyglądając się, jak Jake rozmawia z nową pacjentką.

Dwa dni później podbiegł do Joanny, gdy czekała na windę.

L – Późno kończysz dyżur – zauważył.

– Owszem. Tyle tu trzeba dopilnować. Badałeś panią Brenton? Weszła w drugą fazę porodu, więc powiedziałam siostrze Harris, żeby dała ci znać, kiedy...

Urwała, gdy pokręcił głową.

– Chciałem się z tobą spotkać. Odprowadzę cię.

Weszli oboje do windy i Jake nacisnął guzik. Gdy wychodzili ze szpitala, Joanna dostrzegła zaciekawione spojrzenia pielęgniarek. Ruszyli chodnikiem prowadzącym w dół, do głównej drogi. Jake rzucił od niechcienia, nie patrząc na Joannę:

– Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Alice. Chce, żebym wpadł do niej z tobą. Masz wolne w ten weekend?

Joanna przystanąła.

– Tak – odparła i dodała śmieiej: – Ale tobie na tym nie zależało, więc...

– Tobie też nie – uciął.

Miał rację, poczuła się jednak zmieszana.

– To bardzo miło ze strony Alice – podjęła. – Naprawdę chciałabym się z nią zobaczyć, ale...

– Ale tylko z nią?

Mimo upału przyspieszyła kroku, Jake jednak dogonił ją bez wysiłku.

– Przecież ty też nie masz ochoty na moje towarzystwo.

– Racja, ale pomyśl o Alice. Nie ma łatwego życia. Zawsze była nieśmiała, ale teraz, po wypadku jeszcze trudniej nawiązuje kontakty z ludźmi. Cierpi z braku towarzystwa. Jeśli jej nie odwiedzisz, jeszcze

bardziej zamknie się w sobie. Zapomnijmy więc o wzajemnych animozjach i zróbmy jej przyjemność, dobrze?

Doszli do skrzyżowania i stanęli na światłach. Joanna wiedziała, że nie może odmówić.

– Zgoda – powiedziała. – Nie musisz mnie więcej prosić. Niespodziewanie chwycił ją za rękę i pociągnął na pasy.

– Zielone światło zapala się tu dla pieszych na bardzo krótko. Trzeba prawie biec, żeby dostać się na drugą stronę – wyjaśnił, gdy dotarli na przeciwległy chodnik. – Wpadnę do ciebie w niedzielę rano o dziewiątej. Weź kostium kąpielowy, pewnie będzie okazja popływać.

Gdy doszli do jej domu, Joanna dostrzegła Dorothy podlewającą ogródek. Ta niemal w tej samej chwili zobaczyła ich oboje. Pomachała im, a oni odwzajemnili pozdrowienie.

– Będę gotowa – zapewniła szybko Joanna.

Innego mężczyznę zaprosiłaby pewnie na kawę albo piwo. Była jednak pewna, że Jake ma własne pilne sprawy.

– Joanno – zagadnął nagle – czy przyjaciółki, z którymi mieszkasz... Czy one wiedzą, że znamy się z Anglii?

– Tak. – Z satysfakcją dostrzegła niepokój w jego oczach. – Nie powiedziałabym jednak, że się wtedy znaliśmy. Ja znałam ciebie, to wszystko. – Zabrzmiało to trochę dziecinnie, więc dodała: – Nie martw się, nie mam zamiaru opowiadać nikomu o Helen.

Milczał chwilę, po czym rzekł:

– Wierz mi lub nie, ale ja nie przejmuję się tym zbytnio. Chciałem tylko wiedzieć. Ludzie tutaj oceniają mnie na podstawie mojej pracy. I nie wydają pochopnych sądów. Do zobaczenia w niedzielę.

Nie oglądając się, Joanna poszła w stronę domu. W ogrodzie powitała ją Dorothy z gumowym węzem w ręku.

– Odprowadził cię – stwierdziła. Joanna wyjęła wąż z jej dłoni, ponieważ Dorothy była tak przejęta, że oblewała sobie wodą nogi. – Dlaczego nie zaprosiłaś go do środka?

– Spieszył się – skłamała Joanna. – A zresztą i tak by nie wszedł. Umówiliśmy się na niedzielę.

Dorothy wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Masz randkę z Jakim?

Joanna westchnęła. Opowiedziała koleżance o spotkaniu w Kirstenbosch i planowanej wizycie u Alice.

– Widzisz więc sama, że to nie randka. – Zakręciła wodę i dodała: – Świeżo podlane kwiaty pięknie pachną.

– Rozumiem, nie chcesz rozmawiać o Jake'u. Szkoda, że w niedzielę pracuję. Chciałabym zobaczyć, jak się stroisz na... spotkanie z takim facetem! No, przyznaj, on jest po prostu boski. Przystojny, i jak się uśmiecha! Czy już wiesz, co na siebie włożysz?

– Nie zawracam sobie tym głowy – odparła Joanna bez troski.

W rzeczywistości już wiedziała: wybierze tę nową, przewiewną sukienkę z niebieskiej, indyjskiej bawełny. Słyszała, że w Stellenbosch jest jeszcze cieplej niż w Kapsztadzie.

Joanna przejrzała się w lustrze. Sukienka leżała jak ulał. Gdy wsiadła do samochodu Jake'a, ten spojrział na nią z uznaniem. Wydawał się tego dnia pogodny i odprężony. Zaczęli swobodnie rozmawiać o szpitalu i Kapsztadzie.

Zastanawiała się jednak, czy uprzejmość z jego strony nie jest sztuczna.

Ciekawe, jak by się zachowywał, gdyby nie wiedział, że Joanna zna historię z Helen.

Swego czasu wszystko szczerze mu wygarnęłam, przypomniała sobie. Może rzeczywiście zaszufładkowałam go zbyt prędko. W jej pamięci jednak wciąż tkwił obraz zapłakanej Helen Johnson, porzuconej przez Jake'a O'Connora. Porzuconej – staroświeckie, ale celne słowa – Piękne te góry – zagadnął Jake, a Joanna, wyrwana z zadumy, przyznała mu rację.

Nad miasteczkiem, do którego się zbliżali, widniało błękitne, czyste niebo. Górskie szczyty spowijała mgła.

– Nad górami gromadzą się chmury – zauważył Jake. – Według prognoz będzie burza, ale nie martw się, meteorolodzy często się mylą. To miasteczko uniwersyteckie. – Wskazał na stare domy pośród dębów, z których Stellenbosch słynęło. Mijali młodych ludzi na rowerach. – Ten środek transportu jest tutaj bardzo popularny wśród studentów, ale teraz większość już wyjechała.

– No pewnie, rok akademicki trwa tutaj pewnie ze dwa miesiące, bo reszta to długie, letnie wakacje – zażartowała Joanna. – My w Anglii mieliśmy inaczej.

Minęli rozległy plac, przy którym stał mały, stary kościół. Jake wyjechał z miasta i skierował się w stronę wzgórz pokrytych winnicami. Po jakimś czasie skręcił w boczną drogę.

– Co to znaczy: Morgenster? – spytała. – Dobrze wymawiam to słowo?

– Nieźle. W języku Afrykanerów to Poranna Gwiazda. No, jesteśmy na miejscu.

Dom by! duży i przestronny, ze spadzistym dachem i obszerną werandą, biegnącą wzdłuż trzech jego ścian. Wokół znajdował się wielki,

pięknie utrzymany ogród. Jake wszedł na schody wiodące do głównego wejścia. Alice pomachała im z wózka, uśmiechając się promiennie. Opalona Cathy, w kostiumie kąpielowym zbiegła na dół. Obok niej pędził duży pies.

– Wujku Jake, czekamy na ciebie od samego rana. Niemal wskoczyła mu na rękę. Jake objął dziewczynkę, a potem pocałował jej matkę w policzek.

Alice wyciągnęła dłoń w stronę Joanny.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała. – Mieliśmy nadzieję, że uda wam się wpaść razem.

Pies uniósł łapę, którą Joanna potrząsnęła z poważną miną. – To jest Simba, co znaczy lew – oznajmiła Cathy – ale tak naprawdę to pies myśliwski.

– Piękny – rzekła Joanna. – Miałam kiedyś labradora o podobnej złocistej sierści.

– Simba lubi ludzi, którzy wiedzą, jak się witać z psami. Ja też. – Dziewczynka spojrzała na nią z sympatią.

Zabawne, ale ten komplement ze strony dziecka bardzo Joannę rozczulił. Zauważyła też, że Jake, słysząc go, wyraźnie się rozluźnił, z jego twarzy zniknęło napięcie. Z uśmiechem przywitał się ze zwierzakiem Cathy.

– Córeczko, powiedz Annie, żeby podała kawę, dobrze? – poprosiła Alice. Gdy Cathy zniknęła wraz z psem we wnętrzu domu, zwróciła się do Jake'a: – Niedługo powinien przyjechać Philip. Musiał wziąć jakieś dokumenty z biura. – Philip to mój mąż. Jest prawnikiem – wyjaśniła Joannie.

– Zajmuje się też gospodarstwem? – spytała Joanna, spoglądając na winnicę wokół domu.

Alice pokręciła głową.

– To jest farma mojego ojca. Philip nie zna się na uprawie winogron. Mamy pracownika, który zarządza winnicą.

Postawna kobieta przyniosła tacę, Alice zaś podjechała do stolika i naląła kawę. Pies, który najwyraźniej polubił Joannę, położył łeb na jej kolanach.

– Zobaczył herbatniki, a wie, że nie dostanie nic ze stołu – uśmiechnął się Jake. – Odgoń go, Joanno, jeśli ci przeszkadza.

– Ani trochę – odrzekła. Poklepała psa po łbie, a ten pomachał zadowolony ogonem. – Nasz Shandy robił to samo.

Alice dotknęła dłoni Joanny.

– Tęsknisz za nim? – spytała cicho.

Joanna przytaknęła, czując dziwny ucisk w gardle.

– Ludzie, którzy kupili nasz dom, przygarnęli go do siebie. Parę tygodni temu dostałam list. Shandy chyba już się do nich przywiązał. Zabierają go na długie spacerunki po lesie, ale... tak, tęsknię za nim.

Cathy wypila sok pomarańczowy i wdrapała się Jake'owi na kolana.

– Chcesz zobaczyć moją chatkę na drzewie, wujku? – zapytała. – Pamiętasz, pomagałeś ją budować w lecie. Przemeblowałam ją w środku.

Jake odstawił kawę i wstał, zapewniając Cathy, że o niczym innym nie marzy. Alice i Joanna patrzyły, jak idzie przez szeroki trawnik, trzymając dziewczynkę za rękę. Pies pobiegł za nimi.

– Trochę się martwię, że jest jedynaczką – odezwała się cicho Alice. –

Ja też nie miałam rodzeństwa, ale wychowałam się wśród kuzynów. Jake i Philip dorastali razem, prawie jak bracia.

Jej niebieskie oczy posmutniały na chwilę. Chciała coś dodać, ale się rozmyśliła.

– To był pomysł Philipa, żeby ściągnąć tu Jake’a – podjęła po chwili. – Po tamtej sprawie z nim i jego narzeczoną... Pewnie znasz tę sprawę.

O tak, znam, pomyślała Joanna. Znam Jake’a od tamtej strony – uwodziciela, a nie troskliwego kuzyna i wujka.

– Owszem – powiedziała na głos. Atice westchnęła.

– Jake nigdy do tego nie wraca, a ja nie chcę go pytać. Cała ta historia, zdaje się, bardzo mu się dała we znaki.

Helen bardziej się nacierpiała, dodała w myślach Joanna. Przekonałam się na własne oczy. Nie powiedziała tego jednak, bo Jake i Cathy już wracali.

– Joanno, pomóż mi zjechać na podjazd, proszę – powiedziała Alice. – I zabierz swoją torbę. Mam nadzieję, że wzięłaś kostium kąpielowy. – Z niepokojem spojrzała na gromadzące się na niebie chmury. – Lepiej będzie, jeśli popływacie przed lunchem, bo potem może padać.

Obok basenu znajdowało się niewielkie pomieszczenie i Joanna przebrała się tam w strój kąpielowy. Nagle pożałowała, że wzięła skąpe bikini zamiast kostiumu jednoczęściowego. W sklepie wyglądało dobrze, ale teraz poczuła się w nim zbyt obnażona.

– Podoba mi się twoje bikini – rzekła Cathy z aprobatą.

– Sama też mam takie, ale kiepsko się w nim nurkuje.

– Masz rację, Cathy, ale ja nie zamierzam nurkować.

– Ani ja – wtrącił Jake i zaśmiał się pogodnie.

Joanna zauważyła podziw w jego oczach, gdy jej się przyglądał, prędko jednak ponownie przybrał chłodny wyraz twarzy. Joannie niespodziewanie zrobiło się żal, że relacje między nimi nie ułożyły się inaczej.

Nieco później zjawił się Philip i natychmiast wyczuła, że między mężczyznami panuje jakieś napięcie. Philip Sullivan, choć tak jak Jake mówił z lekkim irlandzkim akcentem, był zupełnie niepodobny do swego kuzyna. Miał ciemno-rude włosy i szare oczy. Uprzejmie przywitał się z Joanną, a gdy wszyscy przeszli na werandę, zapytał ją, jakie wino lubi najbardziej.

– Nie znam się zbyt na południowoafrykańskich winach – przyznała Joanna. – A ty, Alice, które radzisz wybrać?

– Spróbujmy Nederburg Rose – zaproponowała Alice i wyjaśniła, że gatunek ten pochodzi z okolicznych winnic.

Ponieważ dzień by upalny, podano kurczaka oraz inne mięsa na zimno, a także sałatki. Zanosilo się na burzę, było parno i pewnie dlatego wysoka temperatura dawała się jeszcze bardziej we znaki. Kończyli właśnie kawę, gdy rozległ się pierwszy grzmot.

– Chyba powinniśmy wracać do Kapsztadu – odezwał się Jake. – Przepraszam, że musimy skrócić wizytę, ale nie lubię prowadzić podczas ulewy. Co ty na to, Joanno?

Miała nadzieję, że nikt nie dostrzegł jej reakcji na odgłos pioruna. Od dzieciństwa bała się burzy jak ognia.

– Tak, oczywiście, jedźmy – zgodziła się.

Powrót do miasta trwał około godziny, toteż mieli szansę umknąć przed ulewą.

– Odwiedzisz nas wkrótce, Joanno? – spytała Alice. – Może następnym

razem, gdy Jake do nas zajrzy?

Joanna spojrzała Jake'owi w oczy. Było w nich pytanie. I prośba. Muszę być szczerą wobec Alice i małej Cathy, pomyślała.

– Dzięki, Alice. Chętnie jeszcze tu kiedyś wpadnę. – Chciała pozostawić sobie i Jake'owi pole manewru, toteż dodała: – Rzadko jednak mamy wolne w tym samym czasie...

– Ale przyjedziesz? – naciskała Alice, więc przytaknęła. Gdy szli do samochodu, Philip rzekł do Joanny:

– Zatem niebawem się zobaczymy. – Zabrzmiało to zaskakująco szczerze. Philip uśmiechnął się trochę nieśmiało i dodał: – Alice bardzo cię lubi. Od dawna się tyle nie śmiała.

Te słowa rozproszyły ostatnie wątpliwości Joanny. Postanowiła wkrótce znowu ich odwiedzić. Gdy zapięli pasy i samochód ruszył, odwróciła się jeszcze i pomachała Cathy, która podskakiwała w miejscu razem ze swoim ukochanym psem.

~ Dziękuję, że ze mną tu przyjechałaś, Joanno – powiedział cicho Jake, wjeżdżając na szosę. – Miło widzieć Alice w dobrym nastroju.

– Philip mówił to samo. – Nie chciała okazać się zbyt wścibska, jednak po chwili wahania spytała: – Od jak dawna ona jest na wózku?

– Od dwóch lat – odparł powoli. – Wracali pewnego wieczoru do domu, gdy z bocznej drogi wyjechał nagle traktor. Philip chciał go wyminąć i samochód wylądował na dachu. On teraz... obwinia się za ten wypadek, choć to bez sensu. Całe szczęście, że nie było wtedy z nimi Cathy.

Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o urazie, jakiego doznała Alice, lecz niebo przed nimi przecięła nagle błyskawica, po której rozległ się

ogłuszający grzmot. Joanna mimowolnie się skuliła.

Jake zerknął na nią.

– Chyba nie uciekniemy przed tą burzą – rzekł pewnym głosem, który przywrócił jej nieco spokoju. – O tej porze roku rzadko tu pada, ale ta będzie całkiem solidna.

– Solidna? – powtórzyła drżącym głosem.

Błysnęło ponownie, a potem lunęło jak z cebra. Jake zjechał na pobocze.

– Chyba trzeba to przeczekać.

Krople deszczu uderzały głośno o dach samochodu, rozległ się następny grzmot. Joanna poczuła, że serce bije jej niespokojnie i oblewa ją zimny pot. Nie chciała, by Jake widział jej strach, lecz nie potrafiła go ukryć.

– Nie lubisz burzy, prawda? – spytał.

Pokręciła głową w milczeniu.

– Ja też nie, więc dotrzymajmy sobie towarzystwa.

Objął ją i przytulił do siebie, jakby była dzieckiem. Zależknionym dzieckiem, zależnym pociechy i otuchy. W jego ramionach stopniowo odzyskiwała spokój.

Błysnęło jeszcze raz. Joanna odruchowo ukryła twarz na piersi Jake'a, a on objął ją mocniej.

– Burza się oddala – szepnął jej we włosy. – Chyba najgorsze mamy za sobą.

Nie mylił się. Uderzenia piorunów były coraz cichsze i Joanna powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. Naraz uświadomiła sobie, że jest w ramionach Jake'a. Zesztywniała i cofnęła się szybko.

– Dziękuję – powiedziała skrepowana. – Zawsze okropnie boję się w czasie burzy. Przepraszam, że tak głupio się zachowałam. – Spojrzała na niego niepewnie i dodała: – Mam nadzieję, że nie myślisz, że ja tylko... – Zabrakło jej słów, ale on dokończył za nią:

– Że tylko udawałaś, żebym cię przytulił? – Był szczerze ubawiony jej miną i popatrzył na nią ciepło. – Dziewczyno, dostałabyś Oscara za takie przedstawienie. Nie, nie, wiem, że nie udawałaś.

Był nadal blisko i wpatrywał się w nią błękitnymi oczami. Serce Joanny biło niczym młot. Tym razem już nie ze strachu przed burzą, ale lęku spowodowanego bliskością tego mężczyzny. Deszcz uwięził ich oboje w ciasnym wnętrzu auta.

Nie pamiętała, które z nich wykonało pierwszy ruch. To pewnie on wypowiedział jej imię cichym głosem, może nieco drżącym. I ich usta spotkały się w gorącym pocałunku. Gdy po chwili Jake się odsunął, policzki Joanny zapłonęły.

– Nie powinienem tego robić – powiedział. – Przepraszam.

– To także moja wina – odparła po chwili. – Może więc... zapomnijmy o tym.

Przez sekundę w jego wzroku można było dostrzec coś bardzo niepokojącego.

– Oczywiście...

Żadne z nich nie odezwało się już podczas drogi powrotnej. Joannie bardzo odpowiadało to milczenie. Czy możemy o tym po prostu zapomnieć? – zastanawiała się. Czy jemu przyjdzie to równie trudno jak jej samej?

W pracy nadal odnosili się do siebie jak dawniej. Uprzejmie,

poprawnie. Jak gdyby nie spędzili razem tamtego dnia, jak gdyby nigdy się nie całowali. I była mu za to naprawdę wdzięczna.

Każdego dnia na oddziale działo się bardzo wiele, a okresy spokoju zapowiadały jedynie nadejście burzy. Pewnego dnia zaczęły rodzić trzy kobiety i w ciągu dwudziestu minut na świat przyszło troje dzieci. Nie było mowy o odpoczynku. Joanna i pielęgniarka, która jej pomagała, musiały być w ciągłym pogotowiu.

– Siostró Boyd? – usłyszała Joanna i odwróciła się do drzwi.

– Tak, doktorze O’Connor? – zapytała oficjalnym tonem.

– Udało nam się utrzymać nerki pani September w znośnym stanie do czasu porodu, ale teraz podniósł się poziom potasu w jej krwi. Źle się czuje. Nie możemy już dłużej czekać. To zbyt ryzykowne. Jest wieloródką, więc mam nadzieję, że obejdzie się bez cesarskiego cięcia. Proszę zaaplikować oksytocynę i informować mnie o wszystkim, dobrze?

Pacjentka liczyła sobie ponad trzydzieści lat, miała już dwoje dzieci i choć pozornie promieniowała optymizmem, Joanna wiedziała, że ukrywa zdenerwowanie i nie czuje się najlepiej.

– Chcę się potem wysterylizować, siostró – wyznała pani September. – Mam wystarczająco dużo kłopotów z dwójką dzieci, a niewiele sił. Dzięki Bogu, że chociaż pomaga mi moja matka.

– Nic dziwnego, że nie czuje się pani najlepiej – odparła Joanna, podłączając kroplówkę. – Chore nerki zawsze dają się we znaki. Zwłaszcza podczas ciąży.

– Mam chłopca i dziewczynkę. Nie planowałam trzeciego dziecka, ale skoro już się zdarzyło, to bardzo bym chciała, żeby...

Joanna uśmiechnęła się pokrzepiająco.

– Pani dziecku nic nie zagraża. Tętno płodu jest wyraźnie wyczuwalne. Kiedy zacznie się właściwy poród, wezwiemy doktora O’Connora. Chciał osobiście nad panią czuwać.

Dziecko przyszło na świat szybciej, niż oczekiwano. Jake istotnie był obecny podczas porodu. Joanna, widząc ulgę w jego oczach zrozumiała, że i on żywił wcześniej obawy.

Podawała matce noworodka: dorodnego chłopca.

– Hałaśliwy tak jak jego braciszek – skomentowała pacjentka.

– Ma mocne płuca – zauważył Jake. – Niestety, muszę zabrać panią na jakiś czas na urologię. Dziecko będzie na oddziale noworodków, ale niedługo je pani przyniesiemy. Teraz musimy zatroszczyć się o panią.

Pół godziny później, gdy Joanna szła podłączyć kolejną kroplówkę, spotkała Jake’a przy drzwiach.

– Zrobimy jej dializę. Po niej powinna poczuć się lepiej. Jej mąż zgodził się, żeby podwiązać jej jajowody. Ona chce jak najszybciej rozpocząć karmienie piersią. Czy któraś z pielęgniarek mogłaby o ustalonych porach przynosić jej dziecko?

Skinał głową, gdy usłyszał odpowiedź twierdzącą, i odszedł do swych obowiązków.

Jako lekarzowi nie mam mu nic do zarzucenia, przyznała Joanna nie po raz pierwszy. Jest dobrym fachowcem, pełnym troski i współczucia. A więc jak to się dzieje, że w życiu osobistym jest zupełnie innym człowiekiem? Na pewno nie troszczył się aż tak bardzo o dziewczynę, z którą był związany. I zaraz potem Joanna przypomniała sobie, jak podczas burzy trzymał ją w ramionach...

Nie rozumiem zupełnie tego człowieka, pomyślała. Ale czy jest mi to

do czegoś potrzebne? Jest przecież tylko lekarzem, z którym pracuję, to wszystko.

Do Bożego Narodzenia pozostały zaledwie dwa tygodnie. Zewsząd było słychać kolędy, a ulice i sklepy barwnie z tej okazji przystrojono.

– Jakież to dziwne: słuchać w kółko piosenki Binga Crosby’ego o śniegu na Gwiazdkę, kiedy praży słońce, a temperatura dochodzi do trzydziestu stopni – powiedziała Joanna pewnego dnia do Rose, gdy skończyły dyżur.

– Przyzwyczaisz się – odparła łagodnym tonem Rose. – Tak tu już jest. Wybierasz się po świąteczne zakupy?

– Zrobię je w Kirstenbosch. Jeszcze nie widziałam tamtejszego słynnego żywopłotu z migdałowców, więc muszę nadrobić tę zaległość.

W Kirstenbosch znalazła duży sklep z klimatyzacją. Wybrała ładny dzbanek do herbaty dla Rose, dwa ozdobne kubki dla Dorothy oraz, po chwili namysłu, podobne dla Davida. Odniosła bowiem wrażenie, że Dorothy i David wyraźnie mają się ku sobie.

Teraz wpadnę gdzieś na kawę, postanowiła, a dopiero potem wybiorę się na spacer.

Gwiazdka, pomyślała, zamawiając kawę. Kupowanie prezentów zawsze sprawiało jej przyjemność. Gdy sobie jednak uprzytomniła, że są to jej pierwsze święta bez matki, owładnęła ją melancholia. Stanął jej przed oczami wiejski dom, choinka w kącie pokoju, zasłonięte okna, ogień w kominku, stary, kochany pies, śpiący smacznie w ciepłe płomieni. I wychudzona twarz matki w blasku świec płonących na stole.

Oczy Joanny zaszły łzami. Odstawiła filiżankę na blat kawiarnianego stolika.

– Joanno?

Obok niej stał Jake. Chłód zniknął z jego twarzy. Widziała przez łzy, że jest zaniepokojony.

– Nic ci nie jest? – spytał, przysiadając się.

– Nie... To tylko...

Wyczuwała współczucie w jego spojrzeniu. Wyjaśniła mu niepewnym, drżącym głosem, że te święta rodzą w niej nieokreślony lęk.

– Pierwszy raz spędzę Boże Narodzenie w kraju, gdzie w grudniu panują upały – dodała smutno.

Niespodziewanie Jake ścisnął jej dłoń. A może tak tylko mi się wydawało, zastanawiała się, myśląc o tym później.

– Może tak będzie lepiej. Śnieg przywodziłby ci na myśl przykre wspomnienia, więc lepiej za nim nie tęsknij.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– Pewnie masz rację – przyznała i nieco niepewnie dodała, że chciałaby zobaczyć słynny żywopłot z migdałowców w ogrodzie botanicznym.

– Pójdę z tobą – oświadczył Jake.

– Nie musisz – odparła, zaskoczona jego propozycją. W jego błękitnych oczach mignęła iskierka rozbawienia.

– Wiem, że nie muszę, ale też mam ochotę się tam wybrać. Chyba nie ma sensu, żebyśmy szli osobno? – A już poważniej dorzucił: – Piękny dziś dzień, a ty wyglądasz na przygnębioną. Zapomnijmy więc chociaż na chwilę o tym, co nas dzieli, i... po prostu chodźmy.

Nie potrafię go rozszyfrować, pomyślała zmieszana Joanna. Ni z tego, ni z owego okazuje się taki wrażliwy, uprzejmy, wyrozumiały – choć znam go od zupełnie innej strony.

Oboje wstali.

– Nie musisz się nade mną uzalać – powtórzyła.

– Na miłość boską – westchnął – czy jesteś taka dla wszystkich, czy tylko dla mnie? Wkładaj kapelusz i chodźmy wreszcie.

Joanna, nieco zaskoczona własną uległością, wyszła za nim z kawiarni. Gdy chwilę wcześniej płacił za jej kawę, była zbyt oszołomiona, by zaprotestować.

Zwolnił kroku, gdy ruszyli ścieżką w górę. Potem zatrzymywali się przy kolejnych tabliczkach, opisujących rosnące kwiaty i krzewy.

– A to jest wydzielony ogródek dla niewidomych – wyjaśnił, skręcając w boczną dróżkę. – Masz tu nawet tabliczki z pismem Braille’a, no i te cudowne zapachy! Niewidomi mogą poruszać się tutaj wzdłuż tych lin. Kiedy przyjechałem tu pierwszy raz z Philipem i Alice. Cathy zamknęła oczy i zaczęła się przechadzać. Chciała się dowiedzieć, jak to jest, kiedy się nie widzi.

Minęli staw z wydrą z brązu, przy którym kiedyś się spotkali. Joanna skorzystała z okazji i zapytała Jake’a o Alice.

– Nie można jej pomóc? Czy jej choroba jest nieuleczalna? Jake westchnął.

– Ewentualna operacja rokuje pewne nadzieje. W Kapsztadzie jest jeden neurochirurg, który mógłby ją przeprowadzić. Już z nim rozmawiałem. Pokazywałem mu zdjęcia rentgenowskie i wyniki badań. Gotów jest zaryzykować.

– A więc czemu Alice się opiera?

– To nie takie proste. Po wypadku EKG nie wypadło dobrze. Serce Alice nie jest wprawdzie w bardzo złym stanie, ale mogłoby nie

przetrzymać długotrwałej i skomplikowanej operacji.

– Ona nie chce ryzykować – stwierdziła Joanna. – Woli wózek od ryzyka.

Jake przystanął i nagle zmienił temat.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Spójrz, jaki stąd piękny widok na Kapsztad! Miasto między górami a morzem. Niesamowite, co?

Od powierzchni spokojnego oceanu odbijały się słoneczne promienie, a w oddali wyrastały imponujące szczyty.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował Jake i skierował się ku drewnianej ławeczce. – Chciałem, żeby Alice wykonała angiogram – podjął nagle. – To pozwoliłoby zobaczyć, w jakim stanie jest właściwie jej serce, i ocenić ryzyko związane z operacją. Jednak Philip się na to nie zgadza, a Alice z jakiegoś powodu nie umie mu się przeciwstawić.

Joanna zastanawiała się przez chwilę.

– Angiogram to zabieg inwazyjny – powiedziała. – I trochę niebezpieczny.

– Alice tłumaczy postawę Philipa w ten sposób: on już raz niemal ją stracił! i teraz woli unikać wszelkiego ryzyka – odparł Jake, wstając.

Joanna spojrzała na niego trochę zdziwiona.

– On nie chce ze mną o tym rozmawiać – dodał Jake. – Próbowałem go przekonać, ale bez skutku.

A podobno w dzieciństwie byli sobie bliscy jak bracia. Tak mówiła Alice. Oczy Jake'a stały się mroczne, zacisnął usta... Joanna nie zadawała już więcej pytań.

– Chodźmy do żywopłotu – rzucił Jake. – Robi się coraz upalniej.

Wyciągnął rękę, którą Joanna bezwiednie ujęła.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

A jednak już po chwili cofnęła dłoń jak oparzona, czując, że jej policzki stają się czerwone. Jake patrzył na nią ubawiony.

Jego to wszystko śmieszy, pomyślała. W spojrzeniu mężczyzny była jedynie radość; nie dostrzegła w nim żadnego dystansu, chłodu czy wrogości.

Żywopłot z migdałowców, wbrew przypuszczeniom Joanny, nie okazał się niczym nadzwyczajnym, wiązała się z nim jednak długa i ciekawa historia pierwszych białych osadników w tej części kraju.

– Tutejszą okolicę marynarze do dziś nazywają Przylądkiem Burz – opowiadał Jake. – Zeszłego lata rozbił się na pobliskich wodach pewien tankowiec. Wpadł na skały i ledwie dopłynął do portu.

Rozmawiali potem o szpitalu. Jake narzekał, że dyrekcja dokonała nadmiernych cięć finansowych. On mnie znowu zdumiewa, doszła do wniosku Joanna, słuchając Jake'a, który ze smutkiem rozprawiał o brakach personelu czy zamykaniu oddziałów. Trudno było uwierzyć, że ten sam mężczyzna skrzywdził w Anglii dziewczynę, którą znała – niegdyś pewną swej wartości, piękną kobietę.

Joanna myślała o tym ponownie parę dni później i wtedy przyszła jej do głowy inna, jeszcze bardziej niepokojąca refleksja. Dlaczego dla niej samej wspomnienie Helen było aż tak istotne? I zaraz sobie odpowiedziała – ponieważ Jake bardzo przypomina! jej Cliffa. I potraktował Helen tak, jak Giff potraktował ją samą.

Nie powinna mu ufać, to było dla niej jasne. No tak, ale przecież

między nimi jest jakiś... magnetyzm. Muszę uważać, powtarzała sobie. I nie zapominać tego, co o nim wiem.

Chociaż stosunki między nimi układały się coraz lepiej, to w pracy wyczuwała czasem na sobie jego chłodny wzrok – uważny, szacujący jej umiejętności. Wtedy robiło się jej trochę smutno. Wiedziała, że i on pamięta o ich pierwszym spotkaniu w tym szpitalu. Nie zapomniał, że od razu była wobec niego podejrzliwa.

A zatem doszło między nimi tylko do zawieszenia broni. Joannie w zasadzie to odpowiadało. Nie chciała od niego nic więcej, a i on pewnie nie oczekiwał niczego więcej od niej.

Na oddziale położniczym robiło się przed Bożym Narodzeniem coraz tłoczniej.

– To chyba plon tych chłodnych dni w marcu – oznajmiła wesoło Dorothy. – I na tym się, moim zdaniem, nie skończy.

Obecnie pracowała razem z Joanną. Dogadywały się świetnie, a Dorothy swym poczuciem humoru często podtrzymywała zmęczoną koleżankę na duchu.

Pewnego szczególnie gorączkowego popołudnia na oddział wpadła siostra Kenton, gdy Dorothy i Joanna rozkoszowały się akurat chwilą ciszy.

– Wezwanie z miasta, siostró Boyd – oznajmiła. – Jadą po pacjentkę do Hanover Park i chcą zabrać siostrę. Zdaje się, że chodzi o przypadek wypadnięcia macicy. Trzeba się pospieszyć. Już na panią czekają.

Niewielka karetka stała przed szpitalem z włączonym silnikiem. Joanna zajęła miejsce obok kierowcy i Jake'a.

– Och, nie wiedziałam, że...

Jake posunął się trochę, by zrobić dla niej miejsce.

– Zespół pogotowia zawsze składa się z lekarza i pielęgniarki – wyjaśnił.

Karetka wjechała na zatłoczoną autostradę, jednak samochody zjeżdżały na bok, słysząc dźwięk syreny.

– Po raz pierwszy na wyjeździe? – spytał Jake. – Zespoły takie jak ten często jeżdżą do porodów w mieście.

– Siostra Kenton mówiła, że tym razem chodzi o coś innego – odparła Joanna, a Jake potwierdził skinieniem głowy.

– Prawdopodobnie trzeba będzie zrobić transfuzję krwi, podać środek uspokajający i zabrać do szpitala.

Jeden rzut oka na pacjentkę wystarczył, by wiedzieć, że nie ma chwili do stracenia. Kobieta traciła przytomność; karetka pędziła na sygnale do szpitala.

– Konieczna będzie transfuzja – stwierdził Jake cichym głosem. – Siostra Kenton przygotowuje już gabinet zabiegowy.

Istotnie – narkoza była gotowa do użycia. Jake pospiesznie zbadał pacjentkę, po czym zawieziono ją na stół operacyjny.

– Tętno płodu? – rzucił do Joanny.

– Niewyczuwalne. Jednak ciśnienie wraca do normy.

– Będziemy walczyć o to dziecko – powiedział z determinacją w głosie.

– Wykonamy cesarskie cięcie i histerektomię.

Brakowało czasu na dokładne objaśnienia. Jake operował, a Joanna odebrała dziecko. Podała je następnie pielęgniarce, gotowa asystować Jake'owi, który szykował się do zabiegu wycięcia macicy. Gdy usłyszeli

płacz noworodka, oboje spojrzeli na siebie znad masek. Joanna dostrzegła w oczach Jake'a ulgę.

– Wyjdzie z tego – odezwał się w końcu zmęczony, po czym odwrócił się od stołu operacyjnego i zsunął maskę na czoło.

Z pomocą innej pielęgniarki Joanna przeniosła pacjentkę na wózek. Wkrótce operowaną przejął zespół lekarski z intensywnej terapii.

Joanna zajęła się sporządzaniem notatek w gabinecie. Teoretycznie powinna była skończyć dyżur już godzinę temu. Czowała się wyczerpana.

– Siostró Boyd?

Gdy podniosła wzrok, ujrzała w progu Jake'a.

– Dziecko ma się nie najgorzej – powiedział. – Jest trochę niespokojne, ale nic mu nie będzie.

– Dziękuję, właśnie miałam do niego zajrzeć. Chcesz kawy?

– spytała, odkładając notatki.

– Czy nie powinnaś już stąd wyjść? – zapytał ciepło.

– Bez kawy nie dotrę do domu – oznajmiła, podając mu kubek gorącego napoju. – A ty?

– Najpierw obchód. Lepiej nie będę siadał, bo od razu zasnę.

– Uśmiechnął się. – Odwaliliśmy kawał dobrej roboty, co?

– O, tak. Skromnie mówiąc, jesteśmy znakomici! Zaśmiał się, odrzucając w tył głowę.

– Pewnie. Mimo wszystko... dziękuję. To ważna sprawa móc polegać na fachowej asyście.

I ja tobie dziękuję, pomyślała Joanna, gdy już wyszedł. Poczowała się dumna z usłyszanego właśnie komplementu.

Dzień lub dwa później, kiedy akurat weszła do domu, zadzwonił

telefon. Była to Alice.

– Dostałam twój numer od Jake’a – wyjaśniła.

Od Jake’a? Ach tak, oczywiście, Jake musi przecież znać telefon Davida Palmera, który mieszkał razem z Joanną, Dorothy i Rose.

– Pracujesz jutro przez cały dzień, czy może masz wolne? – dopytywała się Alice. – Philip ma wpaść do Claremont, czyli niedaleko twojego domu, więc pomyślałam sobie, że... – Głos w słuchawce nagle ucichł.

Joanna przypomniała sobie słowa Jake’a o tym, że Alice zawsze była nieśmiała, a po wypadku jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

– Tak się składa, że mam wolne popołudnie – odparła Joanna. – Czy Philip mógłby cię do mnie podzucić na herbatę?

– A nie masz nic przeciwko temu? – podjęła Alice z przejęciem. – Cathy wybiera się do koleżanki, więc będę wolna.

Wolna? Jak można być wolnym i zarazem przykutym do wózka inwalidzkiego? – pomyślała zdumiona Joanna, odkładając słuchawkę.

Jednakże nazajutrz na twarzy Alice nie’ było nawet cienia smutku, kiedy Philip posadził ją na wózku, wyniósłszy na rękach z land rovera. Przypominała dziecko, zadowolone, że oto skończyła się szkoła i zaczęły wakacje.

– Wpadnę tu o czwartej – oznajmił żonie Philip, ucinając jakąkolwiek dyskusję. – Nie, Alice, o czwartej, i ani chwili później. Cathy nie może siedzieć u Seldonów tak długo. Wiesz dobrze, jakie mam zdanie na ich temat.

Joanna zrozumiała, że po drodze musieli się posprzeczać. Philip odjechał, a Alice powiedziała z westchnieniem:

– Przepraszam za niego. Philip trochę za bardzo troszczy się o Cathy. Uważa, że Jane Seldon zaniedbuje wychowanie własnych dzieci, ale ja twierdzę, że Cathy przydałoby się trochę swobody. Mniejsza o to... Cieszę się, że ruszyłam się z domu! Tak rzadko miewam do tego okazję.

Joanna nalała herbatę do filiżanek. Przez chwilę rozmawiały trochę o babskich sprawach – ciuchach, fryzurach, makijażu. Potem Alice zapytała o matkę Joanny, więc opowiedziała o ostatnim roku jej życia – Wiem, że to zabrzmia niemądrze – rzekła powoli Alice – ale w pewnym sensie miałaś szczęście. Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej. Ich śmierć mnie zaskoczyła, nie mogłam się z nimi pożegnać. Cathy była jeszcze malutka, nie pamięta ich wcale. Masz zdjęcie swojej mamy, Joanno?

Joanna pokazała Alice fotografię matki siedzącej w fotelu pod jabłonią, z Shandym u stóp.

– Jesteś do niej bardzo podobna – stwierdziła Alice. – Tak samo się uśmiechasz.

Naraz Joanna spojrzała jej w oczy.

– Jake powiedział, że po operacji mogłabyś znowu samodzielnie się poruszać.

Alice pokręciła głową.

– On wie, że to niemożliwe. Ryzyko jest zbyt duże. Słyszałaś o moich problemach z sercem?

– Owszem, ale angiogram wykazałby ostatecznie, czy operacja wiąże się z nadmiernym zagrożeniem. Wprawdzie Jake o tym nie wspomniał, ale pewnie chodzi głównie o Philipa. On bierze na siebie winę za tamten wypadek, prawda?

Wyraz twarzy Alice kazał jej zamilknąć.

– Jest coś, o czym wiemy tylko Philip i ja, Joanno... Tuż przed wypadkiem strasznie się pokłóciliśmy. Powiedziałam, że on mnie krępuje, ogranicza, że nie znoszę tej jego nadopiekuńczości. Nie powinnam była...

– Urwała i po chwili podjęła:

– Postraszyłam go, że jeśli się nie zmieni, to go rzucę i zabiorę Cathy. Wtedy na mnie spojrzał, no i samochód wpadł na ten traktor.

Zacisnęła dłonie, a potem zaczęła odruchowo obracać obręczkę.

– Widzisz, i ja ponoszę winę za ten wypadek. Nie mogę wymagać za wiele od Philipa. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię. Czuję się trochę tak, jakbym go zdradzała, ale musiałam wreszcie z kimś się tym podzielić. Z Philipem nigdy nie poruszamy tego tematu. Wiem jedno: nie poradziłabym sobie bez niego.

Joanna przypomniała sobie słowa, które Philip wypowiedział, gdy zostawiał tu żonę.

– Czy on się zmienił? Czy nadal narzuca ci swoją wolę?

– Nie, on się nie zmienił, ale ja się zmieniłam – odparta cicho. – Philip nie chce się mną z nikim dzielić. Po wypadku troskliwie się mną opiekował. Chroni mnie przed wszystkim. Stworzył mi mały, bezpieczny świat, w którym nic nie może mnie zranić.

– A Cathy? – zainteresowała się Joanna.

Alice odwróciła wzrok, wcześniej jednak Joanna dostrzegła smutek w jej niebieskich oczach.

– Z czasem Philip zrozumie, że będzie zmuszony dać jej większą swobodę – rzekła już znacznie mniej pewnie. Po chwili jednak znowu wzięła się w garść. – Musisz pamiętać, że on kocha nas z całego serca.

Aż za bardzo, dodała w myślach Joanna. Alice zdawała się błagać ją

wzrokiem o wyrozumiałość dla swego męża. Joanna wstała i objęła kobietę siedzącą na wózku.

– Sama musisz decydować o sobie, Alice – powiedziała – ale cieszę się, że mi zaufałaś.

Wkrótce potem Philip przyjechał po żonę. Gdy odjeżdżali, Alice wychyliła się jeszcze przez okno samochodu i zawołała:

– Joanno, mamy jeszcze tyle do obgadania. Chciałam cię zaprosić do nas na Boże Narodzenie. Wiem, że masz wolne. Pytałam Jake’a. On ma dyżur w Wigilę, a potem przez dwa dni też nie idzie do pracy. Może spędzicie z nami całe święta? Jake cię przywiezie. Mamy w domu dużo wolnych pokoi.

Święta... Pierwsze święta bez matki, pomyślała Joanna. Miałabym je spędzić w Morgenster z Jakiem?

– To miło z twojej strony, Alice, ale... jeszcze nie wiem. Dam ci znać.

Naraz wtrącił się Philip:

– Sądziłem, że to będą spokojne święta, Alice.

– Będą spokojne – odparła. – Odrzuciliśmy zaproszenia od sąsiadów. Ale Gwiazdka to święto rodzinne, Philip, a Jake jest twoim kuzynem. Będziemy tylko my, Jake i Joanna.

Jake i Joanna... Sposób, w jaki Alice uczyniła z nich parę, poruszył Joannę. Postanowiła porozmawiać o tym z Jakiem.

Jak się okazało, to on sam wysunął ten pomysł. Spotkali się podczas pewnego trudnego porodu, kiedy pępowina dwukrotnie owinęła się wokół szyi dziecka. Przeżyli wówczas chwilę grozy. Joanna zastała go potem w gabinecie, gdzie pił kawę z siostrą Kenton.

Starsza pielęgniarka wstała na widok Joanny.

– Proszę się poczęstować kawą, siostró Boyd – powiedziała. – Pójdę zobaczyć, co dziś mamy na lunch. Chociaż nie spodziewam się niczego bardziej wykwintnego od sałatki – dodała ponuro i wyszła.

– Słyszałam, że widziałas się z Alice – Jake zwrócił się do Joanny, odstawiając kubek z kawą.

– To prawda – odrzekła nieco skrepowana. – Zaprosiła mnie na święta i powiedziała...

– Powiedziała, że cię do nich zabiorę? Zgadza się, „ przyjadę po ciebie rano w pierwszy dzień świąt – odparł, po czym dodał, rozbijając tym Joannę zupełnie, że jeśli spędzi Gwiazdkę inaczej niż do tej pory, pozbędzie się przykrych wspomnień.

– Wiem – odezwała się cicho, po czym dodała: – Nie chciałabym tylko, żeby Alice wysuwała zbyt daleko idące wnioski na nasz temat. – Gdy zerknął na nią rozbawionym wzrokiem, jeszcze bardziej zmieszana dokończyła: – Wydaje mi się, że ona uważa nas za parę...

Jake pokręcił głową.

– Nie przejmuj się. Alice od dawna próbuje mnie wyswatać. To znaczy, odkąd przyjechałem do Kapsztadu.

Odniosła wrażenie, że natychmiast pożałował tych słów. Popatrzył na nią i spoważniał. Przez jego twarz przemknął cień. Joanna wstrzymała oddech, jej serce zabiło niespokojnie.

– Tyle że to chyba nie powód, żebyś odrzucała zaproszenie, prawda? Ostatecznie na tyle dobrze się znamy, że potrafimy oszczędzić sobie czarowania, prawda, siostró Boyd?

Skinął jej głową na pożegnanie i wyszedł.

Przed świętami w szpitalu było mnóstwo pracy i Joanna nie miała

okazji do prywatnej rozmowy z Jakiem.

Raz jeszcze wyjechała do rodzącej karetką, lecz tym razem towarzyszył jej David Palmer. Siostra Kenton opowiedziała jej, że doktor O'Connor musiał w ciągu jednej nocy przeprowadzić dwa niezaplanowane cesarskie cięcia oraz zabieg histerektomii. Poza tym wypadł mu jednak dyżur w Wigilię.

Joanna wiedziała o tym, ale nie dała tego po sobie poznać.

Lubiła siostrę Kenton, lecz także zdawała sobie sprawę, że w szpitalach aż roi się od plotek. Sam Jake zaś istotnie wyglądał tak, jakby od dawna potrzebował odpoczynku.

– Pani Ngala urodziła przed godziną – oznajmił, pocierając nie ogolony podbródek, gdy przyjechał po Joannę w pierwszy dzień świąt. – Musiałem jeszcze wpaść do szpitala, a skoro mamy zdażyć na śniadanie, przyjechałem prosto stamtąd. – Wziął od niej torbę i zaniósł do auta.

– Zaparzyłam kawę – powiedziała. – Chyba wypijesz? Nie od razu sięgnął po kubek. Najpierw zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a potem rzekł:

– Wesółych świąt, Joanno.

Przez moment sądziła, że zechce ją pocałować. Zapytał jednak tylko ciepłym głosem:

– Miło spędziłaś Wigilię?

Przytaknęła, zaskoczona jego serdecznością. Pytał szczerze. Owszem, pomyślała, było miło. Wspomnienie matki jednak nieuchronnie wprawiało ją w melancholijną zadumę.

– Było inaczej – odparła, świadoma prawdziwej troski w jego oczach. W wigilijną północ poszła z Dorothy i Davidem na nabożeństwo, a później

wrócili i raczyli się ciasteczkami, które upiekła wcześniej Rose, zanim wyjechała na święta do Kimberley, do swojego Andrew.

– Potem poszłam spać. Wiedziałam, że Dorothy i David chcą zostać sami. Poza tym było już późno.

Cieszyła się, że teraz Dorothy jeszcze śpi. Opowiadała jej o swoich świątecznych planach, Dorothy należała jednak do osób, które lubią robić z igły widły.

– Ładna sukienka – powiedział Jake, gdy Joanna wsiadła do samochodu. – Niezwykły chabrowy odcień.

– Lubię błękit – odpowiedziała. A wiec jednak udaje im się rozmawiać z sobą w cywilizowany sposób. I bardzo dobrze.

Na szosie za miastem było pusto. W oddali majaczyły wierzchołki gór spowite siną mgiełką.

– Rankiem wszystko wygląda inaczej – zauważyła.

– Uwielbiam wczesne letnie poranki. Czasami wybieram się o takiej porze na plażę. Zabieram wtedy kanapki i termos. Czasem spaceruję po górach. Tak wcześnie nie ma tam prawie turystów. Spodobałoby ci się, Joanno.

– Pewnie tak – przyznała i dopiero potem zaczęła się zastanawiać, czy była to propozycja, czy też tylko luźno rzucona uwaga?

W Stellenbosch było spokojnie, ciszę mącił jedynie dźwięk kościelnych dzwonów. Zaparkowali przed domem Sullivanów. Cathy wybiegła na powitanie razem z psem.

– Nie śpię już od tylu godzin! – zawołała, obejmując Jake'a i nadstawiając policzek do pocałowania. – Chcecie zobaczyć, co znalazłam w skarpetce? Na prezenty będzie czas później, ale ja zawsze najpierw

dostają podarunki w skarpecie – wyjaśniła Joannie.

– Joanno, Jake, wesołych świąt. – Był to głos Alice, która wyjechała na werandę swoim wózkiem.

Przywitali się z nią serdecznie.

– Chciałam was od razu zaprosić na śniadanie, ale widzę, że Jake musi się najpierw ogolić. Jake, masz do dyspozycji ten sam pokój co zawsze, a Joannie damy sąsiedni.

W cieniu dużego domu stał wielki stół. Kiedy zjawił się przy nim ogolony już Jake, przyszedł także Philip. Lekki posiłek składał się z bułeczek i kawy. Atmosfera była miła i beztraska. Philip zdawał się nie pamiętać o swej wcześniejszej niechęci, by spędzić święta z Jakiem i Joanną. Zrobił zdjęcie Cathy, która dawała prezent psu.

– To piłeczka – wyjaśniła Cathy. – Simba zawsze dostaje piłki i zawsze się cieszy, prawda, tatusiu?

– O tak – potwierdził Philip z uśmiechem.

– Tylko nie możemy z nim chodzić nad rzekę – ciągnęła dziewczynka.

– Wskoczy do wody, a potem pobrudzi podłogę w domu i Anna bardzo się zdenerwuje.

Jake odstawił filiżankę i spojrzał na Philipa.

– Pamiętasz te święta, kiedy dostaliśmy wędkę? – spytał.

– Oczywiście. Gdy dorośli kończyli obiad, poszliśmy nad rzekę. Chcieliśmy złowić wielkiego łososa.

– Zamiast tego wyłowiliśmy wielki, stary but! – dodał Jake ze śmiechem.

– Ale to jeszcze nie koniec – ciągnął Philip. Joanna zauważyła, że wspominki z Irlandii wyraźnie ożywiły obu mężczyzn. – Wpadliśmy do

wody i wróciliśmy do domu przemoknięci i zmarznięci.

– A dorośli tylko się z nas śmiali – dokończył rozbawiony Jake.

Jednakże po chwili w szarych oczach Philipa pojawił się chłód.

– Czas na prezenty spod choinki, Cathy – zwrócił się do córki. – Chodźmy do środka.

Joanna zerknęła na Jake'a i zobaczyła, że i on spoważniał. Musiała zdusić w sobie pragnienie, by go objąć, gdyż wydał się jej nagle przygnębiony i zmęczony. Szybko jednak wziął się w garść i podążył za wózkiem Alice do wnętrza domu, gdzie Cathy już pokazywała Joannie choinkę.

Być może Alice nauczyła się łagodzić wszelkie napięcia i nieporozumienia, pomyślała Joanna, gdy żona Philipa zajęła się rozdawaniem podarunków.

Zakup odpowiednich prezentów zabrał Joannie nieco czasu, gdyż chciała wybrać dla każdego coś stosownego. Cathy bardzo się spodobała lalka w miniaturowym śpiworze, a Alice natychmiast założyła na swoje jasne, kręcone włosy aksamitną przepaskę. Obaj mężczyźni dostali od Joanny powieści sensacyjne.

– Dziękuję, Joanno – powiedział Philip, znowu wchodząc w rolę uprzejmego gospodarza. – Bardzo lubię P. D. James. Wolę od Johna Grishama.

Jake podziękował za książkę Ruth Rendall, a gdy Joanna powiedziała, że lubi powieści tej pisarki, obiecał, że pożyczy jej książkę po przeczytaniu.

Z kolei Joanna dostała od Alice i Philipa album o Kapsztadzie, a od Cathy wykonaną własnoręcznie zakładkę.

– Zrobiłam ją w szkole – oznajmiła dziewczynka. – Kiedy mama powiedziała, że kupiła ci książkę, pomyślałam, że zakładka też ci się przyda.

– Z pewnością, Cathy – zapewniła dziewczynkę zgodnie z prawdą Joanna.

– Wszystkiego najlepszego, Joanno. – Jake wręczył jej niewielką paczkę. Wewnątrz znalazła turkusową, jedwabną chustę i aż krzyknęła z zachwytu.

– Widziałam taką w Kirstenbosch – powiedziała, a Jake kiwnął głową.

– Poczekaj, aż wyjdiesz ze sklepu, i wtedy ją kupię. Mimo niechęci, jaką do mnie czujesz? – pomyślała wzruszona, a głośno powiedziała:

– Dziękuję ci, Jake.

– Mamo, tato, a gdzie mój specjalny prezent? – spytała zaniepokojona Cathy.

Alice popatrzyła na stos nie rozpakowanych prezentów córki i pokręciła głową.

– Przecież dostałaś już tyle!

– No tak, i wszystkie są śliczne, ale tatuś powiedział, że dostanę coś wyjątkowego, czego nie znajdę pod choinką.

Alice zwróciła się do Philipa:

– Chyba już pora na prezent dla Cathy.

– Racja – przyznał. – O, Anna niesie akurat kawę. Może najpierw się napijemy?

Gdy towarzystwo skierowało się na werandę, Alice powiedziała do córki:

– Zamknij oczy, Cathy, i nie podglądaj. Dziewczynka zacisnęła powieki, a Philip wszedł do małej szopy, z której wyłonił się po chwili, wyprowadzając krępego, białego kucyka.

– Możesz już spojrzeć – rzekł, trzymając lejce.

Cathy dosłownie oszalała z radości. Zbiegła po schodach i rzuciła się na szyję zwierzęcia.

– Mogę się teraz na nim przejechać, tatusiu? Philip podsadził ją na siodło.

– Pamiętaj o jednym, Cathy – dodał, nadal dzierżąc wodze. – Wolno ci na nim jeździć tylko wtedy, gdy jestem w domu.

– Ale nie ma cię w domu, kiedy wracam ze szkoły – powiedziała dziewczynka zawiedziona. – A czasami przyjeżdżasz dopiero późnym wieczorem, – Philipie – odezwała się Alice – to bardzo łagodny kucyk. Dzieci już go dosiadały.

Tu wtrąciła się Anna:

– Panie Philipie, mój Jannie może pilnować Cathy. Nic jej się nie stanie. Cathy, będziesz słuchała Janniego?

– No pewnie, Anno – zapewniła gorliwie dziewczynka i spojrzała na ojca.

Po chwili Philip westchnął i pozwolił córce na przejażdżkę wokół domu.

– Zwieź mnie z werandy, Jake – poprosiła Alice. – Chcę na nią popatrzeć. – Po czym ściągnęła brwi i dodała: – Czuwałam nad Cathy, odkąd się urodziła. Uczyłam ją chodzić. Ale teraz podrosła i musi poznać, jak smakuje samodzielność. Ojciec musi jej na to pozwolić.

Gdy dziewczynka skończyła rundkę wokół domu, Anna uśmiechnęła

się i klasnęła w dłonie.

– Spójrz, Anno – zawołała do niej Cathy – jak dobrze sobie radzę! Śliczny konik, prawda, Joanno? Nazwę go Bałwankiem. Niech jeszcze trochę tu z nami zostanie.

Trudno było przekonać Cathy, że nie można wprowadzić kucyka do domu na lunch.

Podane zimne dania okazały się znowu wyśmienite. Było wśród nich mięso z indyka, szynka, sałatki warzywne i owocowe.

– Trochę czasu upłynęło, zanim przywykłem do świątecznych obiadów w gorącym klimacie – rzekł Jake do Joanny.

– Rozumiem to – odparła cicho. – A jednak mimo choinki, prezentów, czegoś mi brak...

– Jeszcze poczujesz świąteczną atmosferę – zapewnił ją Jake zagadkowo.

Wieczorem o zmierzchu usłyszeli z oddali głosy ludzi śpiewających kolędy. Wkrótce zobaczyli pochód z latarniami, w którym uczestniczyli młodzi i starsi, mężczyźni, kobiety i dzieci.

– To mieszkańcy okolicznych wsi – wyjaśniła Alice. – Pielęgnują dawne tradycje. Wspaniale, prawda?

Słuchając kolęd śpiewanych przez tych prostych ludzi, Joanna poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– I co, miałem rację? – szepnął jej do ucha Jake. – Czujesz teraz świąteczny nastrój?

– Tak – odparła cicho i znów przypomniwała sobie minione święta. Te same kolędy, wychudzoną twarz matki, która ożywiła się na chwilę. Joanna odwróciła głowę, ale Jake dostrzegł jej wzruszenie i przytulił ją do

siebie.

Kiedy śpiew ucichł, Anna przyniosła z kuchni ciasteczka, inne słodczyce i oranżadę dla dzieci oraz kawę dla dorosłych. Po chwili pochód ruszył dalej, intonując „Cichą noc”.

– Idą teraz do następnej farmy – wyjaśniła Alice i zwróciła się do córki:

– Czas spać, Cathy.

– Mamo, niektóre z tych dzieci były młodsze ode mnie – zaprotestowała Cathy.

– Może i tak, ale pewnie nie obudziły się o piątej rano. Anna przygotuje ci kąpiel, a ja i Joanna wpadniemy powiedzieć ci dobranoc.

– Z tatusiem i wujkiem Jakiem – domagała się stanowczo dziewczynka.

Ułożywszy Cathy do snu, dorośli ponownie zasiedli na werandzie.

– Co tak słodko pachnie? – zapytała Joanna.

– Bardzo subtelna, egzotyczna woń, prawda? – odezwał się Philip. – To kwiaty, które silniej pachną wieczorem. – Wskazał spory krzew obok werandy i urwał biały, nieco lepki kwiatostan. – Taki sam krzak rośnie pod oknem twojej sypialni.

Później, gdy Joanna znalazła się w swoim pokoju, otworzyła okno i istotnie poczuła ten sam mocny, słodki aromat.

Rozebrała się i położyła do łóżka, ale sen nie przychodził. Jedwabna chusta rozłożona na oparciu wiklinowego krzesła opalizowała mimo zgaszonego światła, w blasku księżycowej poświaty. Zabawne, pomyślała Joanna, że Jake wrócił wtedy, by ją kupić. Dziś sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Nic dziwnego, w ubiegłych dniach ciężko pracował.

Joannę trochę wytrącała z równowagi świadomość, że Jake śpi teraz tuż obok, za ścianą. Wyobraziła sobie jego ciemne włosy na poduszce,

opaloną, uśpioną twarz, rzęsy – wyjątkowo długie jak na mężczyznę – rzucające cienie na policzki.

Szybko przywołała się do porządku. Nie wolno jej o nim myśleć z czułością. Wstała z łóżka i przypomniała sobie, że przy domu znajduje się basen. Pomysł samotnej kąpieli przypadł jej do gustu. Może po pływaniu łatwiej zaśnie.

Włożyła bikini, wzięła z łazienki ręcznik i na czubkach palców ruszyła korytarzem. Zapamiętała boczne drzwi na zewnątrz. Postanowiła nimi wyjść, by nie robić hałasu. Na szczęście nie natknęła się na Simbę, gdyż szczekanie psa z pewnością postawiłoby na nogi wszystkich domowników.

Woda w basenie była rozkosznie chłodna. Popływawszy trochę, postanowiła zanurkować. Trochę poniewczasie przypomniała sobie słowa Cathy o tym, że bikini to nie strój do nurkowania. Niestety, dziewczynka miała rację. Joanna wypłynęła na powierzchnię już bez stanika.

Z brzegu basenu dobiegł ją nagle głos Jake'a:

– Dobry pomysł, popływać w nocy. Zdawało mi się, że coś słyszę. Chyba pójde w twoje ślady. Gdzieś tu był kontakt...

Joanna dopłynęła do krawędzi basenu i pozostała w wodzie.

– Nie zapalaj światła – powiedziała szybko.

– Wolisz pływać po ciemku? Czy woda jest ciepła? Joanna wzięła głęboki wdech.

– Mógłbyś podać mi ręcznik? Leży na ławce.

– Chyba cię nie wypłoszyłem? – zapytał, śmiejąc się. – W tak dużym basenie zmieścimy się oboje.

– Wiem – odparta, a potem zdobywając się na szczerłość, dodała: –

Tylko że... zgubiłam gdzieś górę od kostiumu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Na moment zapanowało milczenie.

– No, no – odezwał się wreszcie Jake. – Więc chyba mamy problem.

– Owszem. Mógłbyś wreszcie podać mi ręcznik?

– Zrobię coś innego – oznajmił wesoło. – Jeśli nadal będziesz odwrócona do mnie plecami, zapalę światło i zlokalizujemy... zagubioną część garderoby. Oddam ci ją wtedy i wymogom przyzwoitości stanie się zadość.

– Żarty sobie ze mnie stroisz.

– Nie z ciebie, tylko z sytuacji, w jakiej się znalazłaś.

Rozbłysło światło. Po chwili zgasło znowu i rozległ się głośny plusk. To Jake wskoczył do basenu. Po paru sekundach znalazł się obok Joanny.

– Proszę bardzo – powiedział, wręczając jej stanik. – Mam zamknąć oczy? Ostatecznie świeci księżyc i coś mógłbym zobaczyć... Czy już wszystko w porządku?

– Tak – odparła i dorzuciła sztywno: – Dzięki za pomoc.

– A więc teraz możemy spokojnie popływać w tej rozkosznie chłodnej wodzie.

Joanna zrozumiała, że postąpiłaby niemądrze, gdyby wyszła z basenu. Pływanie z Jakiem w blasku księżyca okazało się zresztą bardzo przyjemne. Kiedy w końcu wyszli oboje z wody.

Joanna otuliła się dużym ręcznikiem. Jake wytarł włosy, które teraz sterczały mu śmiesznie na wszystkie strony.

Joanna nagle zdała sobie sprawę z bliskości jego ciała.

– Ty też nie mogłeś zasnąć? – zapytała pospiesznie, próbując nadać pozory normalności temu osobliwemu spotkaniu. – Wyglądałeś na zmęczonego.

– Czasem zmęczenie utrudnia zasypianie. Nie wzgardziłbym teraz filiżanką herbaty. Może pójdziemy do kuchni i nastawimy czajnik? Wiem, gdzie co znaleźć.

– Bardzo chętnie.

Jake jednak się nie ruszył, patrzył tylko na nią w świetle księżyca, a potem delikatnie, bardzo delikatnie ją pocałował.

– Wiesz, siostró Boyd... – zaczął. – Chyba musimy przyznać, że dzieje się coś niezwykłego, kiedy jesteśmy razem.

Serce Joanny rozpoczęło szaloną galopadę, lecz mimo to usiłowała przybrać ten sam, pozornie beztroski ton.

– Może i racja, doktorze O'Connor. To chyba elektryczność, magnetyzm albo coś w tym rodzaju.

– Zabrzmiało bardzo naukowo – skomentował Jake, po czym znowu ją pocałował. Pocałunek ten, z początku tak niewinny, stawał się coraz gorętszy. Jake objął ją i mocno przytulił. Chyba niezbyt się opierałam, pomyślała później, rozpamiętując ten moment. Trwało chwilę, zanim od siebie odstepili.

– Magnetyzm... – powtórzy! zadumany Jake. – No, chodźmy na herbatę.

Musiałam chyba oszaleć, pomyślała Joanna, kiedy usiedli przy kuchennym stole, pod którym leżał Simba i radośnie uderzał ogonem o podłogę. Właściwie nie lubię tego faceta, nie ufam mu, bo za dużo o nim wiem. Co więc tutaj robię? I dlaczego w ogóle z nim rozmawiam o tej

porze?

Potem zastanawiała się, czy powinna była skorzystać z okazji i szczerze się z nim rozmówić. Wyznać, że mu nie ufa po owej nieszczęsnej historii z Helen Johnson. Dodać, że sama dobrze wie, jak to jest być porzuconą. Oznaczałoby to jednak dać mu atut do ręki – potwierdzić, że jest do niego uprzedzona. A może należałoby poznać jego wersję tamtej historii?

Nie zapytała jednak o nic. Siedzieli w milczeniu w kuchni, a owa cisza była dziwnie przyjazna. W końcu Jake odstawił kubek i ziewnął. Joannie też zaczęły ciążyć powieki.

Umyła oba kubki i odstawiła je na suszarkę. Oboje przeszli następnie długim, ciemnym korytarzem do swych pokoi. Jake zatrzymał się przy drzwiach do sypialni Joanny.

– Dobrej nocy – powiedział cicho i musnął jej wargi ustami.

– Do zobaczenia rano.

– Drugi dzień świąt nazywamy tu Dniem Dobrej Woli – oznajmiła nazajutrz Alice przy śniadaniu.

Wyjrzała przez okno, gdzie Cathy czekała niecierpliwie, aż ojciec skończy jeść i pozwoli jej pojeździć na kucyku. I niespodziewanie spytała żartobliwie:

– Dobrze się wam pływało w nocy? Joannie zrobiło się gorąco.

– Bardzo dobrze – odparł Jake. – Skąd wiesz, że pływaliście? Narobiliście dużo hałasu?

– Przeciwnie, ale noc była gorąca i nie zasłoniłam okna. No i przez moment paliło się na basenie światło.

– Ach tak, naturalnie – mruknął Jake.

Joanna rzuciła mu ostre spojrzenie. Jeśli tylko wspomni o tej górze od

kostiumu, to...

Jake powoli rozsmarował masło na grzance i wahał się, czy wybrać miód czy marmoladę.

– To było zbyt dobre – podjął. – Znacznie przyjemniej pływa się po ciemku, prawda, Joanno?

– Znacznie przyjemniej – potwierdziła i odetchnęła z ulgą. Niebezpieczeństwo oddaliło się na chwilę, chociaż w oczach Jake’a nadal czaiły się złośliwe iskierki. Może chciał jeszcze coś dodać? Jeśli istotnie chciał, to nie zdążył, bo do pokoju wpadła właśnie Anna.

– Doktorze O’Connor, proszę szybko! – zawołała. – Moja córka miała rodzić dopiero za trzy tygodnie, ale ma straszne bóle!

Jake i Joanna porozumieli się wzrokiem i wybiegli z domu, kierując się w stronę budynku za stajnią. Dziewczyna, którą tam zastali, była bardzo młoda i bardzo wystraszona.

– No, Francie, nie widzieliśmy się od czasu, gdy zwichnęłaś nadgarstek – rzucił Jake na powitanie. – Zobaczmy no, czy zdążymy cię zawieźć do szpitala.

Joanna wiedziała, że nie ma już na to czasu.

– Rękawice – polecił Jake. Joanna znalazła parę gumowych rękawiczek w jego torbie, którą przytomnie zabrał ze sobą. Jake uśmiechnął się do dziewczyny. – Spiesz się na świat to twoje dziecko, Francie, ale siostra Boyd i ja tworzymy zgrany zespół. Pomagaliśmy razem przy niejednym porodzie.

Jake się nie mylił. Poród rzeczywiście przebiegł wyjątkowo szybko.

– Spokojnie – przemawiał Jake do rodzącej. – Rób tylko to, co powiem. Teraz nie przyj, tylko oddychaj, wiesz, jak to robić... O właśnie, dobrze,

dzielna dziewczyna. A teraz, Francie, przyj. Jeszcze raz. Chwyć siostrę za rękę i spróbuj jeszcze raz.

Po chwili młoda matka trzymała już w ramionach krzyczące dziecko. Wcześniej Joanna owinęła chłopca w chustę, którą podała jej Anna.

– Poszło jak po maśle – powiedział Jake do dumnej babci noworodka. – Czy nie mówiłem, że stanowimy zgrany zespół?

Onieśmielona nagle Francie powiedziała coś cicho do matki.

– Ona mówi, że da dziecku na imię Jake. Na cześć pana doktora – wyjaśniła Anna.

– Och, dziękuję, Francie, jestem zaszczycony.

Joannie wydał się jednak trochę zmieszany i zagubiony. Gdy wracali do domu, popatrzył na nią smętnie.

– Miałem rację? Dobrze nam się współpracuje?

Tym razem to ona się zmieszała i nie odpowiedziała mu. Oczywiście, miał rację. A jednak w jego oczach dostrzegła coś jeszcze. Odniosła wrażenie, że Jake pragnie powiedzieć jej dużo więcej.

Reszta dnia upłynęła im cicho i spokojnie. Wieczorem, gdy się żegnali, Philip powiedział Joannie, że cieszy się z przyjęcia przez nią zaproszenia.

– Widzę, że Alice uwielbia twoje towarzystwo – oświadczył, po czym dodał z wahaniem: – Lubię patrzeć na nią, gdy się śmieje. Kiedyś... robiła to częściej.

Teraz nie ma zbyt wielu powodów do radości, pomyślała Joanna, patrząc na Alice siedzącą na wózku.

– Przyjedziesz do nas znowu, Joanno? – spytała Alice, gdy wsiedli z Jakiem do samochodu. – Masz samochód, więc możesz wybrać się do nas

sama.

– Przyjedź koniecznie! – zawołała Cathy. – Zobaczysz, jak będę jeździła na Bałwanku.

– Na pewno, Cathy. Dziękuję, Alice i Philipie, to były wspaniałe święta.

Wspaniałe i... dziwne, niepokojące, pomyślała, kiedy wyjechali na szosę. Zastanawiała się, czy Jake wspomni o ich nocnym spotkaniu na basenie. Na szczęście tego nie uczynił. Mówił trochę o pracy, a potem zapytał, jak Joanna się czuje na swoim oddziale.

– Znakomicie – odparła. – Obawiam się tylko, że brakuje mi doświadczenia. Może dobrze by mi zrobiło, gdybym spędzała trochę więcej czasu w sali operacyjnej. Lubię tę pracę, zwłaszcza kontakt z matkami i dziećmi.

Jake uśmiechnął się, słysząc jej słowa.

– Przed laty profesor Symms zaproponował mi specjalizację w dziedzinie położnictwa. Nie mogłem nie skorzystać z takiej szansy. Teraz jednak mam wrażenie, że poradziłbym sobie nie tylko na porodówce. W naszym szpitalu świetną renomą cieszy się, na przykład, klinika leczenia bezpłodności. Pracują tam też nad sposobami przeciwdziałania ciążyom bliźniaczym, które są zawsze ryzykowne. A propos, za pięć miesięcy jedna z kobiet urodzi trojaczki.

– Asystowałam już przy porodzie bliźniąt. Kiedy ta kobieta trafi do szpitala?

– Przyjmujemy ją prawdopodobnie około trzydziestego tygodnia ciąży i będziemy kontrolować jej stan. Sądzę, że urodzi przed upływem trzydziestego ósmego tygodnia. Pewnie nie obejdzie się bez cesarskiego

ciecia. Na razie dzieci rozwijają się dobrze. Są drobne, ale dają sobie radę.

– A co będzie po powrocie do domu? – zastanawiała się głośno Joanna.

– Jedno dziecko czy dwoje można upilnować, ale trójkę?

– Ja też wolę, kiedy rodzą się pojedynczo.

Już wiele razy Joanna miała okazję widzieć radość Jake'a z powodu udanego porodu. A teraz siedziała z nim w samochodzie, daleko od szpitala, i zastanawiała się, jak patrzyłby na własne dziecko. Poczula zmieszanie i spytała pospiesznie:

– Masz dziś nocny dyżur, prawda?

Spojrzał na nią zdziwiony; rozmawiali już przecież o tym przed paroma dniami. Wyczuł zresztą sztuczną nutę w jej głosie, choć pewnie nie domyślił się jej przyczyny.

– Tak. Dlatego musieliśmy wcześniej wyjechać. A ty masz zjawić się w szpitalu jutro o siódmej.

Gdy zatrzymali się przed domem Joanny, zaprosiła go na kawę, lecz wymówił się brakiem czasu. Wyjął z bagażnika jej torbę i postawił na schodach.

– Dziękuję, że zabrałeś mnie do Morgenster, Jake. – Joanna wyciągnęła do niego rękę.

Ujął ją w obie dłonie, po czym spojrzał Joannie w oczy, sprawiając wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć. Na moment zapanowało dziwne napięcie. Po chwili jednak Jake jakby się rozmyślił i wypuścił jej dłoń. Wsiadł do samochodu i tylko pomachał na pożegnanie.

Wkrótce potem przyjechała Dorothy, która właśnie skończyła świąteczny dyżur.

– Udał się wyjazd? – spytała.

– Owszem, bardzo – odrzekła Joanna zgodnie z prawdą. Dorothy westchnęła zawiedziona.

– Spędziłaś dwa dni z Jakiem i tylko tyle masz do powiedzenia? Umówiłaś się z nim na następny raz?

– Tak. Jutro rano spotkam go w szpitalu – odparła ze Śmiechem Joanna.

Dorothy pokręciła głową.

– Wiesz, że nie o to pytam. Widzę, że i tak więcej z ciebie nie wyciągnę!

Sama nie wiem, pomyślała Joanna, zamknawszy się w swoim pokoju. Nie wiem, czy Jake chce się ze mną ponownie spotkać. I czy ja tego pragnę.

Zgodnie z oczekiwaniami, w ciągu następnych dni wszyscy w szpitalu mieli pełne ręce roboty. Rodziły się wcześniaki, przyjmowano na oddziały nowe pacjentki, pojawiały się nieprzewidziane komplikacje. Po odebraniu kolejnego trudnego porodu Joanna i Jake wymienili spojrzenia. Jego wzrok sprawiał, że jej serce zaczynało szybciej bić.

Ponieważ mieli wolne święta, wypadło im spędzić w szpitalu Nowy Rok. Jego nadejście uczcili razem z Dorothy oraz jedną z młodych praktykantek.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – powiedział uroczyście Jake, gdy wybiła północ, i uniósł filiżankę z kawą. A patrząc na twarze słuchających go kobiet, dodał: – Życzę wam tego, czego same pragniecie. Wydaje mi się, że dzisiaj możemy na chwilę zapomnieć o przepisach i regulaminach.

Wstał i ucałował Dorothy oraz praktykantkę. Obie zaczerwieniły się po

same uszy.

– Wszystkiego najlepszego, siostró Boyd – zwrócił się do Joanny i pocałował ją w usta. Na moment ich spojrzenia się spotkały. – A teraz muszę gnać na oddział noworodków – rzucił, odwracając się w progu i machając na pożegnanie.

– On jest słodki – stwierdziła przejęta Dorothy.

– A David? – spytała Joanna. – Czy nie jest słodki?

– Davida mam codziennie – uśmiechnęła się Dorothy. – A o Jake’u mogę sobie tylko pomarzyć.

Ładnie to ujęła, pomyślała Joanna. Swoich myśli wołała chwilowo nie analizować.

Kilka dni później znalazła po powrocie do domu kartkę od Dorothy, która wybrała się z Davidem na przyjęcie. Zostawiła adres na wypadek, gdyby Joanna chciała do nich dołączyć. Ona wołała jednak odpocząć i wyspać się. Napęliła wannę wodą i już miała do niej wejść, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

To z pewnością Rose, pomyślała. Miała tego dnia wrócić z Kimberley i pewnie zapomniała kluczy. Joanna pobiegła boso przez korytarz i otworzyła drzwi.

W progu stał Jake.

– Powinienem być zatelefonować – powiedział – ale postanowiłem zaryzykować. Oj, chyba woda się przelewa!

– Zapomniałam zakręcić kran w łazience!

Wróciła po chwili owinięta ręcznikiem. Jake przyjrzał się jej uważnie.

– Wybierasz się do łóżka? – Pytanie zabrzmiało tak dwuznacznie, że oboje wybuchnęli śmiechem. – Mamy piękny wieczór – dodał Jake. –

Pomyślałem, że może wpadlibyśmy gdzieś na kolację, a potem popatrzeli z góry na miasto nocą.

– Sądzisz, że to dobry pomysł? – spytała niepewnie. Jego twarz nagle stężała, jakby poczuł się rozczarowany.

– Uważam, że bardzo dobry. Jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać, Joanno. Już raz cię widziałem w ręczniku – dodał ze śmiechem. – Ubierz się i pojedziemy coś zjeść. W samochodzie mam butelkę wina.

– Dorothy zostawiła paszteciki – mruknęła Joanna. – Może nam wystarczą? Najpierw jednak się ubiorę.

Wszedł do kuchni i usiadł przy stole, podczas gdy ona pakowała wiktuały. Gdy poczuła na sobie wzrok Jake'a, odwróciła się i na chwilę znieruchomiała z nożem w ręku.

– Chcesz mnie tym dźgnąć? – spytał z uśmiechem.

– Nie... – Pokręciła głową. – Chciałam cię tylko zapytać, czy lubisz musztardę.

Chwilę później jechali już w stronę gór. Widok szczytów zapierał dech w piersiach. Po pewnym czasie zatrzymali się i z podziwem patrzyli na rozciągającą się u ich stóp panoramę miasta.

– Nie miałam pojęcia, że widok będzie tak piękny – odezwała się Joanna, gdy opuścił dla niej szybę w aucie.

– Oglądanie Kapsztadu z góry to tutaj tradycja – wyjaśnił ściszym głosem i objął ją jedną ręką, a drugą odwrócił ku sobie jej twarz. – Do miejscowej tradycji należy też to – dodał i delikatnie pocałował Joannę w usta. Po chwili podjął: – Wiem, nie powinniśmy się śpieszyć, chociaż to

dla mnie niełatwe. Musimy porozmawiać, musimy zaczerpnąć świeżego powietrza, ale najpierw zrobmy sobie piknik.

Wyciągnął z samochodu koc, który rozłożył na trawie. Zjedli paszteciki i wypili nieco wina.

– Mylą mi się kierunki – przyznała Joanna. – Gdzie jest szpital?

Wstali i podeszli do niskiego kamiennego muru. Jake wskazał odległy gmach szpitala, a potem zatoczył ręką krąg.

– Zobacz, ile statków jest w zatoce. – Wskazał głową pojedyncze światła.

Znowu wypili trochę wina i dosyć długo potem milczeli. Pomyślała, że Jake ma rację. Rzeczywiście powinni porozmawiać, powinni wiele sobie wyjaśnić, i to najlepiej od razu, choć

by tutaj. Sama tego pragnęła, mimo że nie ufała temu mężczyźnie i mimo że wiedziała o nim intrygujące rzeczy.

Potem zastanawiała się wielokrotnie, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby owego wieczoru zdążyli porozmawiać, tak jak to zaplanował Jake. Jednakże z samochodu dobiegł wtedy irytujący dźwięk telefonu komórkowego.

– Do licha – mruknął Jake. – Nie mam przecież dyżuru. Wrócił do Joanny po upływie kilku minut.

– Profesor Symms miał atak serca – oznajmił. – Nie ma kto zrobić cesarskiego ciecica. Przykro mi, Joanno.

– Mnie też przykro, Jake – odrzekła szczerze. Wstała i zdobyła się na uśmiech. – Ale takie jest życie. Wracajmy.

Wezwanie przez telefon, atak serca profesora – wszystko to stanowiło dla Jake'a spory stres. Joanna pojmowała to doskonale i starała się nie

obciążać go dodatkowymi problemami.

Zrozumiała też, co Jake miał na myśli, gdy po skomplikowanym porodzie mieli okazję zamienić parę słów przy kawie.

– Wyjdzie z tego – rzekł, marszcząc czoło – daj mi jednak znać, jeśli znowu podskoczy jej ciśnienie. Z toksemią nigdy nic nie wiadomo. Dziecko jest drobne, ale silne. To zawsze widać, prawda?

– Owszem. – Joanna pomyślała o niemowlęciu w inkubatorze, skazanym na izolację jeszcze przez kilka tygodni. Drobne, ale silne...

– Dzięki za kawę. – Jake odstawił kubek. – Uratowała mi życie. Muszę teraz iść na ginekologię. – W progu przystanął i dodał: – Przepraszam za tamten wieczór. Teraz chyba będę musiał długo czekać na kolejny wolny dzień.

– Nie szkodzi. Przecież się nam nie spieszy.

Do czego? – pomyślała. Do szczerzej rozmowy, wyjaśnienia paru spraw. Do uczynienia stanowczego kroku.

Dwa dni później obudziła się ze strasznym bólem głowy. Ubiegłej nocy oglądała do późna ulubiony film w telewizji. Postanowiła doprowadzić się do ładu, ale prysznic oraz gorąca kawa z grzanką niewiele pomogły. W szpitalu siostra Kenton zmierzyła ją wzrokiem.

– Panuje epidemia grypy. Nie mam zamiaru narażać na kontakt z nią swoich pacjentek! Proszę udać się do lekarza, a potem do domu. Strasznie wyglądasz, moja droga. Nie powinnaś dzisiaj przychodzić do pracy.

Joanna znalazła się w poczekalni pośród wielu innych pielęgniarek oraz salowych. Od lekarza dostała zwolnienie, a także leki. Wróciła do domu pieszo. W takim stanie nie mogła prowadzić samochodu.

W domu panował spokój. Rose, Dorothy oraz David byli w pracy. Joanna wzięła dwie tabletki aspiryny i położyła się do łóżka. Nie miała siły, by zaparzyć herbatę. Gdy Rose z Dorothy wróciły z dyżuru, czuła się jeszcze gorzej.

– Wyglądasz koszmarnie – oświadczyła Dorothy. – I masz straszną temperaturę. Zrobię ci coś do picia. Jesteś głodna?

Joanna z trudem pokręciła głową. Grzecznie wypła herbatę, po czym zmorzył ją ciężki sen. Przebudziła się nagle, gdy ze skrzypnięciem otworzyły się drzwi. Stała w nich wyraźnie zmieszana Dorothy.

– Przepraszam, Joanno, ale on bardzo chce się z tobą widzieć. Pewnie wolałabyś nie pokazywać się mu w takim stanie, ale chyba musisz – dodała szeptem.

Niemal w tej samej chwili Jake podszedł do jej łóżka i ujął jej rękę.

– Dobrze zrobiłaś, że wróciłaś do domu – powiedział. – Nie powinnaś była w ogóle wychodzić dziś z łóżka. Nie możesz zostać tu sama, bez opieki. Przecież twoje koleżanki chodzą do pracy. Myślę, że...

Dorothy wyszła, ostentacyjnie zostawiając otwarte drzwi. Joanna próbowała się skupić na słowach Jake'a, lecz było to za trudne. Usiłowała wstać, ale nagle podłoga usunęła jej się spod stóp. Jake zdążył podtrzymać ją, zanim upadła. Chciała, by przy niej został, aby nie odchodził. Straciła przytomność.

Musiało upłynąć sporo czasu, zanim ponownie otworzyła oczy. Nadal czuła potworny ból głowy, ale zawroty ustąpiły. Przypomniała sobie, że był tu Jake, coś mówił, lecz nie pamiętała co. Obiecała sobie, że podziękuje mu za odwiedzinę, kiedy poczuje się lepiej.

Ostrożnie odwróciła głowę i zobaczyła na fotelu śpiącego Jake'a. Był

nie ogolony, wyraźnie zmęczony. Nagle otworzył oczy.

– Co tu robisz? – spytała go zdumiona.

– Prosiłaś mnie, żebym nie odchodził, a więc zostałem – wyjaśnił.

Prosiłam... A myślałam, że to było tylko ukryte pragnienie, pomyślała zmieszana.

– Ale... masz tyle pracy w szpitalu. Dotknął swego telefonu komórkowego.

– Tym razem w szpitalu panuje spokój. W razie czego mogą mnie wezwać.

Próbowała usiąść, ale pomysł okazał się niedobry. Znowu zakręciło się jej w głowie.

– Połóż się – polecił Jake. – Jak się czujesz?

– Lepiej, ale nadal niezbyt dobrze.

Uśmiechnął się. Na widok jego pogodnej, choć pokrytej ciemnym zarostem twarzy, zrobiło jej się cieplej na sercu.

– Szczerze mówiąc, wyglądasz okropnie. – Położył na jej czole chłodną dłoń. – Gorączka trochę spadła, jednak nie powinnaś zostawać sama.

Przypomniała sobie, że wcześniej mówił już coś podobnego.

– Nonsens – odparta, usiłując przybrać stanowczy ton. – To tylko grypa. Nic mi nie będzie.

– Coś wymyślimy – oznajmił Jake z przekonaniem i zerknął na zegarek. – Muszę się ogolić, zanim pokażę się na oczach pacjentkom.

– I siostrze Kenton – podsunęła Joanna.

– Racja – przyznał Jake.

Dotknął jej policzka gestem tak delikatnym, że poczuła dziwny dreszcz.

Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego. Nigdy, odkąd rozstała się z Ciiffem, odkąd postanowiła, że już nie pozwoli się zranić, nie uwierzy naiwnie mężczyźnie. Nie spodziewała się jednak przede wszystkim, że w obecności kogoś takiego jak Jake poczuje się bezpiecznie.

Usłyszała, jak rozmawia z Dorothy w korytarzu, a potem dobiegł ją odgłos odjeżdżającego samochodu. Po chwili Dorothy weszła do pokoju, trzymając w jednej ręce kubek z kawą, a w drugiej grzanekę.

– Dobrze, że byłam akurat na miejscu – powiedziała – inaczej Jake pewnie czekałby pod drzwiami. – Po chwili pokręciła głową i dodała: – Sprawiał wrażenie, jakby chciał się tu włamać. Wybacz, Joanno, ty ledwo żyjesz, a ja sobie żarty stroję. Przyniosę ci herbatę. Rose zajrzy do ciebie później, dobrze?

– Oczywiście. Dziękuję, marzę o filiżance herbaty.

I o spokojnym Śnie, dodała w myślach. Dorothy podała jej porcję leków. Joanna przełknęła tabletki i po chwili ogarnęła ją senność.

Przebudziła się znacznie później, kiedy przez zasłony przenikały do środka promienie słońca. Ostrożnie uniosła głowę i uznała, że zawroty już jej nie dokuczają. Sięgnęła po szlafrok, chcąc wstać i zrobić sobie herbatę. Nogi miała jednak w dalszym ciągu jak z waty.

Gdy dobrnęła wreszcie do kuchni, nastawiła wodę i usiadła, by poczekać, aż się zagotuje. Kiedy nalewała wrzątek do czajniczka, rozległ się dzwonek u drzwi. Postanowiła nie otwierać, dzwonienie jednak nie ustawało. Potem usłyszała, że ktoś głośno woła jej imię. Nie był to głos ani Jake'a, ani Davida. Kto więc się do niej dobija?

Ku jej zdumieniu, w progu ujrzała Philipa Sullivana.

– Mam cię przywieźć do nas – oznajmił trochę skrepowany. – Jake dzwonił do Alice i powiedział, że ktoś musi się tobą zająć. Moja żona mówi, żebyś niczego nie zabierała. Wszystkie niezbędne rzeczy znajdziesz u nas.

Oczy Joanny zaszyły łzami.

– Niepotrzebnie się tak martwicie – odrzekła. – To przecież tylko grypa. Nie chciałabym zarazić Alice albo Cathy. Ani ciebie.

– Anna się tobą zajmie. Jake twierdzi, że musisz odpoczywać przynajmniej przez tydzień. I nawet nie próbuj się spierać.

Uśmiechnął się, a Joanna po raz pierwszy dostrzegła podobieństwo między nim a Jakiem.

– Muszę cię do nas przywieźć – dodał. – Alice mi nie daruje, jeżeli tego nie zrobię.

Joanna czuła, że nie ma siły się opierać, zresztą wzruszyła ją troskliwość Sullivanów. Szybko się spakowała, a koleżankom zostawiła kartkę z informacją, gdzie jest.

Philip zaprowadził ją do samochodu i pomógł ulokować się wygodnie na siedzeniu. Joanna przymknęła powieki i prawie natychmiast zapadła w drzemkę. Obudziła się dopiero, kiedy samochód się zatrzymał.

Na werandzie czekały Alice i Cathy.

– Nie chcę ich zarazić – powtórzyła Joanna.

Philip porozmawiał krótko z żoną oraz córką, które z wyraźnym ociąganiem weszły z powrotem do domu. Minutę później zjawiała się Anna.

– Zaprowadzę panią do pokoju, pani Joanno – oznajmiła. – Przygotowałam łóżko i gorący napój cytrynowy. Proszę go wypić, a potem

postarać się zasnąć.

Joanna niewiele zapamiętała z tego, co się działo przez następne dwa dni. Przychodziła do niej Anna, przynosiła napoje oraz przecierała jej czoło chłodną, wilgotną gąbką. Zza ściany słychać było czasem głos Cathy i szczekanie Simby.

Po upływie dwóch nocy kryzys minął. Joanna poczuła z ulgą, że ból głowy ustąpił.

– No, już z panią lepiej – stwierdziła z zadowoleniem Anna, przynosząc jej pierwszy od dawna gorący posiłek. – Ugotowałam bulion z kurczaka. Proszę wypić, to doda pani sił.

Rosół w samym środku lata? A jednak Joanna stwierdziła, że gospościa miała rację.

– Pyszne, Anno – powiedziała potem. – Nie jadłam w łóżku rosółu, odkąd... – Głos uwiązł jej w gardle, gdy naszły ją wspomnienia z rodzinnego domu. Przechodziła rekonwalescencję po operacji wyrostka w latach szkolnych i wtedy matka ugotowała jej rosół... Odwróciła głowę, lecz Anna dostrzegła jej łzy.

– Pomyślała pani o swojej mamie? Śmierć matki jest zawsze straszna. Tak mówi pani Alice.

– Od jak dawna ją znasz, Anno?

– Od dziecka. Potem zajmowałam się Cathy. – Jej oczy nagle pociemniały. – Kiedy Cathy trochę podrosła, pani Alice myślała o następnym dziecku. I wtedy zdarzył się ten wypadek. Pan Philip nadal traktuje Cathy jak maleństwo, a pani Alice się to nie podoba.

Anna wstała, zaciskając usta. Chyba uznała, że powiedziała za dużo.

– Jutro pani Alice zajrzy do pani – dorzuciła. – A może pani poczuje się

na tyle dobrze, żeby posiedzieć na werandzie? Świeże powietrze zawsze dobrze robi.

Nazajutrz, po śniadaniu złożonym z owoców oraz grzanek, Joanna ubrała się w niebieską, bawełnianą sukienkę, a potem wyszła na werandę do Alice.

– Joanno! Cieszę się, że cię widzę. Anna potrafi dokonywać cudów! – Twarz przyjaciółki poweselała. – Jak się czujesz?

– Nadal jestem trochę osłabiona, ale już mogę chodzić. Nie wiem, jak mam ci dziękować. Tak wspaniale się mną zaopiekowaliście.

– Jake po prostu kazał nam się o ciebie zatroszczyć – oznajmiła Alice. – Byłabym zapomniała... Dzwonił kilka razy. Pytał, jak się czujesz, i mówił, że może uda mu się jutro do nas wpaść. Zdaje się, że ma teraz trochę mniej pracy. – Zerknęła na zegarek. – Niedługo mam spotkanie z fizjoterapeutką. Przyjeżdża ze Stellenbosch i nadzoruje kurację wodną... A ty usiądź i tymczasem przejrzyj gazety. Anna przyniesie ci kawę, ale pewnie niedługo zagoni cię z powrotem do łóżka.

– Słowo Anny jest dla mnie rozkazem – rzekła Joanna.

Wkrótce istotnie Anna stwierdziła, że pora odpocząć.

Wczesnym popołudniem Philip przywiózł Cathy ze szkoły. Dziewczynka chciała pokazać Joannie, jak dobrze umie już jeździć na kucyku. Tu jednak zaoponował Philip.

– Niestety, kochana, muszę wracać do biura. Może pojeździsz wieczorem.

Błękitne oczy Cathy napęłniły się łzami.

– Przecież Jannie może mnie przypilnować, tatusiu.

– Philipie... – odezwała się cicho Alice.

Joanna zrozumiała, że ten drażliwy temat był już wcześniej przedmiotem dyskusji. Philip zacisnął usta.

– W porządku. Pogadam z nim.

Pięć minut później wrócił z wnukiem Anny. Sam posadził Cathy na kucyku, dopiero potem niechętnie oddał wodze młodemu człowiekowi.

– Pamiętaj, Jannie, tylko bez popisów – uprzedził. Joanna odniosła wrażenie, że Jannie bardzo uważnie pilnuje Cathy. Gdy powiedziała o tym Alice, ta w odpowiedzi ciężko westchnęła.

– Wiem – odparła po chwili – ale Philip niechętnie powierza mu naszą córkę.

Bo jest nadopiekuńczy, dodała w myślach Joanna. Nie była to jednak pora, by o tym rozmawiać. Cathy zaś siedziała na kucyku i promieniała z radości.

– Jeździsz bardzo dobrze, Cathy – pochwaliła ją Joanna.

– Prawda? – podchwyciła dziewczynka. – Dzisiaj wieczorem przekonamy o tym tatę. Może nie będzie się już tak martwił. Mam rację, mamusiu?

Alice pokiwała głową, po czym spojrzała na Joannę. Tym razem w jej oczach wyraźnie malował się smutek.

Nazajutrz rano Joanna spytała, czy Jake na pewno przyjedzie. Alice potwierdziła, chociaż nie wiedziała, o której godzinie. Joanna dostrzegła, że przyjaciółka chętnie by z nią porozmawiała na temat Jake'a, toteż szybko wstała od stołu pod pretekstem, iż musi umyć włosy.

Później wyszła do ogrodu w dużym kapeluszu pożyczonym od Alice. Za basenem znajdował się mały sad, w którym rosły morele, śliwy, grusze i jabłonie. Joanna zerwała dojrzałe owoce śliwki chińskiej, za którymi

wprost przepadała.

– Rajski ogród? – zapytał Jake, wyrastając nagle u jej boku. – A to? Czyżby zakazany owoc? – Spojrzał na nią i dodał: – Wyglądasz znacznie lepiej niż ostatnio.

Joanna zmieszała się na wspomnienie chwili, gdy zobaczyła Jake'a drzemiącego przy jej łóżku.

– Dziękuję... za troskę powiedziała. – To było bardzo miłe z twojej strony.

Jake wzruszył ramionami.

– Wiem, że Alice byłaby niezadowolona, gdybym zostawił cię samą w takim stanie.

– Za kilka dni będę mogła wrócić do pracy – rzekła z uśmiechem. – Właściwie mogłabym wyjechać stąd już dzisiaj.

Jake zdecydowanie pokręcił głową.

– Lepiej, żebyś tu jeszcze została.

Wyszli z cienia sadu na rozległy, zalany słońcem trawnik. Jake przystanął, ujmując dłonie Joanny.

– Wyglądasz naprawdę dużo lepiej – powiedział.

– Już to mówiłeś – przypomniała mu.

Pocałował ją delikatnie w usta, a potem objął ją mocno. Nagle zapomniała o całym świecie. Istnieli tylko oni oboje, Jake i ona.

– Magnetyzm? Iskra elektryczna? – szepnął. – Zawsze wierzyłem w moc nauki.

– Żartujesz sobie ze mnie – zarzuciła mu drżącym głosem.

– A masz coś przeciwko temu? Zaprzeczyła ruchem głowy.

Wziął ją za rękę i skierowali się przez trawnik w stronę domu.

Cudowne było tak *iść* w słońcu, rozkoszując się pogodnym dniem. Nie miała pojęcia, że nad ich głowami gromadzą się ciężkie, ciemne chmury, które wkrótce przesłonią słońce.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ten dzień rzeczywiście miał się na długo zapisać w pamięci Joanny. Jak jej matka nazywała podobne dni? Dniami drobnych, lecz ważkich niespodzianek.

Jake, Joanna i Alice pili potem kawę w cieniu werandy. On opowiadał im o swym dzieciństwie spędzonym w Irlandii, o Philipie. Przed lunchem oboje z Joanną kapali się w basenie. Jej nie opuszczało wspomnienie tamtej nocy: ich spotkania o zmroku w tym samym miejscu. Potem przyszła pora południowego posiłku, na który podano świeżo zebrane winogrona i ciemny chleb z serem. Jake nalegał, by Joanna trochę odpoczęła, choćby na bujanej kanapie na werandzie.

Upał rozleniwiał. Głosy Jake'a i Alice ledwie docierały do świadomości Joanny. Wkrótce sąsiad przywiózł ze szkoły Cathy, która radośnie powitała wuja. Późnym popołudniem Jake pożegnał się ze wszystkimi, także z Simbą, który podał mu uroczyście wielką łapę.

Przed odjazdem obiecał Joannie, że za dwa dni zabierze ją z powrotem do Kapsztadu. Przemknęło jej wtedy przez myśl, że nadal dzielą ich pewne nie wyjaśnione sprawy, lecz w owej chwili nie wydało się to aż tak ważne. Coraz lepiej zaczęli czuć się w swoim towarzystwie. Może, skonstatowała z uśmiechem, przeszłość jest mniej istotna niż dzień dzisiejszy czy jutrzejszy.

Philip zawitał w domu dopiero po kolacji – wcześniej miał podobno spotkanie z klientem. Cathy leżała już w łóżku, więc poszedł do córki, aby

życzyć jej dobrych snów. Alice z Joanną rozmawiały o filmie, który oglądały w telewizji poprzedniego dnia. Przerwały dyskusję na widok Philipa, który stanął w progu z posepną miną. Najwyraźniej coś było nie tak.

– A więc dziś był tu Jake? – spytał szorstko.

– Owszem. Żałował, że się z tobą nie spotkał, ale musiał wracać – odrzekła Alice i dodała z determinacją: – Wróci za dwa dni, żeby zabrać Joannę do Kapsztadu. Może wtedy się spotkacie.

– Naturalnie. Zabierze Joannę – sarknął.

Joanna poczuła się skrępowana. Chyba powinnam wyjechać, pomyślała. Zanim jednak cokolwiek powiedziała, Alice obróciła wózek, kierując się w stronę domu. W drzwiach rzekła drżącym głosem:

– Powinnam położyć się wcześniej. Anna pomoże mi się wykapać. Do jutra, Joanno.

Przez moment zdawało się, że Philip podąży za żoną, lecz nagle się odwrócił. Widać było, że coś go dręczy.

– Przepraszam, Joanno... – wydusił z siebie i zdobył się na słaby uśmiech. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

Przypomniała sobie wyraz twarzy Jake'a, kiedy mówił, jak to z jakiegoś powodu rozpadła się jego przyjaźń z Philipem. A teraz ta nerwowa nuta w głosie Alice...

Odetchnęła głęboko i odezwała się:

– Jake opowiadał nam dzisiaj, jak to kiedyś wiosłowaliście razem na jeziorze. Łódź się wywróciła, a jego ojciec musiał was wyciągać. Przypominasz sobie to zdarzenie?

– Tak – przyznał Philip cicho.

– Co zaszło między wami, Philipie? – spytała łagodnie. – On jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwy.

Uniósł głowę i spojrzał chłodno na Joannę.

– Nieszczęśliwy? – mruknął niechętnie. – On doskonale o wszystkim wie.

– Czyżby? – Joanna nie ustępowała. – Posłuchaj, Philipie, czy ty nie przerzucasz na niego swojego poczucia winy?

– Winy? – zachnął się.

– Tak. Poczucia winy z powodu wypadku. Z powodu tego, że Alice jeździ teraz na wózku.

Milczał długą chwilę. Jego twarz była napięta, surowa. Joanna zaczęła żałować, że w ogóle zaczęła tę rozmowę.

– Co wiesz o tym wypadku? – zapytał.

– Może więcej, niż chciałbyś – odparła. – Alice opowiedziała mi, że... tuż przed tym zdarzeniem oznajmiła ci, że chce cię porzucić.

– I wyjaśniła dlaczego?

Joanna spojrzała mu prosto w oczy.

– Byłeś zbyt zaborczy. Nie czuła się przy tobie wolna. – I widząc, że wzburzenie w nim narasta, dokończyła: – Powiedziała mi, że posunęła się może trochę za daleko...

Coś w twarzy Philipa kazało jej przestać mówić.

– Czy zacytowała ci swoje słowa?

Joanna zaprzeczyła. Chciała jakoś się z tego wycofać.

– Powiedziała mi wtedy, że zakochała się w kimś i dlatego właśnie chciała mnie zostawić. Dlatego, oraz z powodu innych moich cech. – Twarz Philipa ściągnął grymas bólu. – Tym kimś był Jake, oczywiście –

wyjaśnił. – I nagle wszystko zrozumiałem, nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Nie musiała nawet wymawiać jego imienia. Wybrała fatalną porę na zwie

rzenia, bo właśnie wtedy wyjechał tamten traktor. A potem... nie chciała już do tego wracać. Prosiła mnie, żebym o wszystkim zapomniał. Próbowałem, naprawdę próbowałem, ale bezskutecznie. Joanna wstała.

– Rozumiem twoje uczucia – powiedziała nieswoim, zimnym, bezbarwnym głosem rozsądku.

– Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię – dodał nagle. – Jesteś pierwszą osobą, której się zwierzam. Alice milczy jak zaklęta od czasu wypadku. Nie licząc prośby, żebym wymazał jej słowa z pamięci. A było to jeszcze zanim się dowiedziała, że nie będzie chodzić.

I oczywiście, kiedy cię poinformowano, że twoja żona będzie przykuta do wózka inwalidzkiego, pomyślała Joanna, zrozumiałeś, że już jej nie stracisz, że jest na zawsze zdana na twoją łaskę.

– Dobranoc, Philipie – powiedziała.

Ta noc była długa i mroczna – z wielu powodów. Księżyc ukrył się gdzieś za chmurami i Joanna wpatrywała się przez okno w bezgwiazdne niebo.

Jeszcze tak niedawno uśmiechała się do siebie na myśl o tym, że przeszłość nie gra roli, że liczy się tylko dzień jutrzejszy.

– Pomyliłam się – powiedziała głośno w pustej sypialni. – Okropnie się pomyliłam.

Przeszłość wcale nie odeszła w zapomnienie. Jake nadużył zaufania swojego kuzyna, wykorzystał moment słabości Alice. To było niewybaczalne. Jakoś nie przyszło jej do głowy, by o cokolwiek winić

samą Alice. Dostrzegała zaborczość Philipa, w porównaniu z którym Jake rzeczywiście wydawał się uroczy, przemiły. O tak, pomyślała gorzko, Jake z pewnością bez kłopotów rozkochał w sobie Alice. Teraz stało się jasne, że nie powinna była zmieniać o nim zdania. Początkowa nieufność, wzbudzona historią Helen Johnson, okazała się słuszna. Jak mogła tak dać mu się omamić?

Czuła, że jej policzki czerwienieją ze wstydu, gdy wspomniała jego dłonie, pocałunki, jego ciało tuż przy swoim. Pewnie uznał mnie za łatwą zdobycz, pomyślała z goryczą. Tak jak wszystkie inne. Naigrawał się ze mnie, z tego mojego „magnetyzmu”, z moich żalonych prób opierania się jego urokowi.

Poczuła ciężar na sercu, lecz postanowiła nie płakać. Kiedy jednak w końcu zasnęła, śniła, że tonie we łzach, że znowu jest dzieckiem, małą dziewczynką zagubioną w mrocznym ogrodzie. Szukała w tym śnie swej ukochanej lalki – pod krzewami, ławkami. I w końcu z płaczem pobiegła do matki.

Kiedy zbudziła się rano, czuła ucisk w gardle.

– Wyglądasz znacznie gorzej niż wczoraj, Joanno – stwierdziła Alice z troską w głosie. – Może nie posłużyły ci te spacerunki z Jakiem...

– Czuję się dobrze – odparła – tylko nie mogłam zasnąć. Chyba ciągnie mnie z powrotem do pracy.

Przypomniała sobie, że nazajutrz Jake obiecał zabrać ją do Kapsztadu. Nie chciała go jednak widzieć, nie miała ochoty być z nim ani przez chwilę sam na sam. Już nigdy nie chcę się z nim spotykać na osobności, pomyślała z wściekłością.

Ucieszyła się jednak z tego, że była akurat sobota i Cathy została w

domu. Czas płynął trochę weselej przy akompaniamencie dziecięcego śmiechu. Kiedy po południu wrócił z biura Philip, Cathy chciała zademonstrować rodzicom oraz Joannie swoje umiejętności jeździeckie.

Jannie szedł obok kucyka, trzymając w rękach lejce, Cathy zaś zrobiła dwie rundki wokół trawnika. Biały kucyk stąpał wyjątkowo ostrożnie, jakby świadom tego, że niesie na grzbiecie dziecko.

– Mogę jechać szybciej? – zawołała Cathy.

– Ostrożnie, Cathy, bo spadniesz! – ostrzegł Philip i wstał, gdy konik ruszył kłusem.

I rzeczywiście: po chwili dziewczynka leżała na ziemi. Philip pobiegł w jej stronę, Cathy jednak stanęła na nogach o własnych siłach.

– Mówiłem ci, Cathy, bez popisów – rzekł ze złością ojciec.

– Nic ci nie jest? Jannie – zwrócił się do chłopaka – nie zgodziłem się, żeby jechała kłusa.

– Ale Cathy chciała jechać szybciej – zaprotestował Jannie.

– I całkiem dobrze już sobie radzi, panie Sullivan..

– To nieważne – odburknął Philip. – Masz słuchać mnie, a nie Cathy. – Zerknął na córeczkę. – Na dzisiaj wystarczy. Kucyk wróci do stajni. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów.

– Tatusiu... – zaczęła Cathy, ale Philip odwrócił się . do niej plecami, – Ona musi się nauczyć spadać z konia – powiedziała Alice, gdy mąż usiadł przy niej. – Poza tym nic jej się nie stało. Zawsze jeździ w kasku.

– Lepiej unikać zbytniego ryzyka – wycedził Philip przez zęby.

Na szczęście w tej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Philip odszedł, żeby go odebrać.

Joanna pomyślała, że ten mężczyzna nie zmienił się ani na jotę. Jego

zaborczość stawała się coraz trudniejsza do zniesienia dla żony i córki. Alice starała się wprawdzie zachowywać pozory, że wszystko jest w porządku, musiała jednak wkładać w to wiele wysiłku.

Tego wieczoru zadzwonił Jake. Rozmawiała z nim Alice, która potem podzieliła się nowinami z Joanną:

– Jake’owi jest bardzo przykro – rzekła – ale w poniedziałek ma mnóstwo zajęć. Nie będzie mógł po ciebie przyjechać. Powiedział, że wkrótce się zobaczycie. Dodał, że masz się nie przemęczać. Zaproponowałam – tu zwróciła się do męża – że odwieziemy Joannę. Byłbyś tak uprzejmy, Philipie?

Philip pokręcił głową.

– W poniedziałek mam masę spraw, ale zdaje się, że Bob jedzie do Kapsztadu. Bob Steyn zarządza naszą farmą – wyjaśnił Joannie. – Tak, on cię odwiezie. Problem w tym, że pewnie wyrusza wcześniej rano.

– Nie szkodzi – odparła szczerze. – Będę miała czas, żeby się przygotować do pracy.

Wiedziała, że jazda z Philipem po ich rozmowie nie należałaby do przyjemności. Wiadomość, że Jake po nią nie przyjedzie, przyjęła z wielką ulgą.

Nie miała pojęcia, co mu powie, kiedy się zobaczą. Przez resztę dnia rozpamiętywała to, czego dowiedziała się od Philipa. Doznawała przykrego uczucia na myśl o fałszywym wyznaniu Jake’a, który niby nie wiedział, co zniszczyło przyjaźń obu mężczyzn. Wolałaby, aby już nigdy więcej nie wspominał przy niej o Alice ani o jej mężu.

Najlepiej byłoby w ogóle przestać go widywać, powiedziała sobie

Joanna, pakując rzeczy do walizki. Była to jednak utopia – pracowali przecież razem. Zeszłej nocy rozważała nawet pomysł porzucenia obecnej pracy i wyjazdu do innego miasta w Republice Południowej Afryki albo nawet powrotu do Londynu. Dlaczego jednak miałyby opuszczać tak urocze miejsce jak Kapsztad z powodu Jake'a?

– Martwię się, że tak szybko wracasz do pracy – powiedziała Alice, kiedy Joanna zajęła miejsce w samochodzie Boba. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Wzięłam z sobą trochę za mało kosmetyków. – Joanna starała się obrócić sprawę w żart. – Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. – Zwróciła się następnie do Anny, która, uśmiechnięta jak zwykle, stała obok. – A ty, Anno, jesteś cudotwórczynią. Te twoje rosoły szybko postawiły mnie na nogi.

– Powinna pani jeszcze odpocząć przez dzień lub dwa – stwierdziła stanowczo gospoia.

– Chciałabym – skłamała Joanna. – Alice, pozdrów ode mnie Cathy. I Philipa.

Postawny, siwowłosy zarządca farmy okazał się człowiekiem milczącym, co miało swoje dobre strony, chociaż rozmowa o niczym pewnie pomogłaby odpędzić natrętne myśli. Wspomnienie tamtej burzy, fałszywej czułości Jake'a, kąpieli w blasku księżycy w święta Bożego Narodzenia...

Dosyć, upomniała się Joanna. To już skończone.

Skończyło się, zanim na dobre się zaczęło.

Postanowiła więcej o tym nie myśleć.

W domu czuła się z początku trochę dziwnie. Wkrótce jednak przyszli z

pracy Rose, Dorothy oraz David i cała czwórka zasiadła wspólnie przy stole w dużej kuchni, zabierając się do jedzenia przygotowanego przez Rose pysznego chili. W takiej atmosferze Joanna szybko odzyskała dobry nastrój.

– Pozazdrościć takiej opieki – rzekła z odcieniem żartobliwej zawiści Dorothy, kiedy wysłuchiwała opowieści o Annie, o jej gorących napojach cytrynowych oraz o bulionie.

– Przez pierwsze dni czułam się tak strasznie, że początkowo wcale tego nie doceniałam – odparła szczerze Joanna. – Rzeczywiście, bardzo się o mnie troszczyli. I dom też jest piękny, jednak byłam tam tylko gościem. Tutaj jest inaczej, jestem u siebie – dorzuciła z uśmiechem.

– Wiem, chcesz przez to powiedzieć, że nas lubisz – podsumowała Dorothy i przechyliła się do przodu, opierając łokcie na stole. – A teraz przejdźmy do rzeczy. Jak ci poszło z doktorem O’Connorem?

– Nie ma o czym mówić – odparła Joanna trochę cierpko.

– No, daj spokój – naciskała Dorothy. – Widziałam, jak zemdląłeś w jego ramionach, jak siedział przy tobie, kiedy leżałaś chora I tak to zbywasz?

Joanna wstała.

– Powtarzam, nic między nami nie zaszło. Nie będę się już z nim spotykać. Najwyżej w pracy.

– Pokłóciliście się? – zapytała Dorothy. – Przecież wszystko da się naprawić.

– Nie, wcale się nie pokłóciliśmy. I nie ma czego naprawiać.

– Ale... – dziewczyna nie dawała za wygraną.

– Przestań już, Dorothy – wtrącił się nagle David, a Joanna

zawtórowała mu ze łzami w oczach:

– Na litość boską, nie bądź taka wścibska! – Po chwili dodała już znacznie spokojniej: – Przepraszam. Po prostu nie chcę o tym mówić.

W gronie przyjaciół można było po prostu uciąć tę całą kwestię, ale Joanna wiedziała, że nie uda jej się uniknąć spotkania z Jakiem. Obawiała się tej chwili, zwłaszcza teraz, gdy dowiedziała się nim tylu nowych rzeczy.

Następnego ranka oboje uczestniczyli w obchodzie. Szła , u jego boku, a on wydawał jej polecenia, i uważnie obserwował. Później, gdy pili kawę, zapytał oficjalnym tonem:

– Siostró Boyd, mam nadzieję, że już w pełni wyzdrowiałaś.

– Owszem, dziękuję – odparła. Cieszyła się, że nie byli sami. Towarzyszyła im jedna z młodych pielęgniarek.

– Proszę dać mi znać, kiedy pani Tembo wzrośnie ciśnienie.

– Oczywiście, doktorze. Pamiętam o tym.

Niestety, pielęgniarkę wezwano do jednej z pacjentek i wtedy Jake odstawił kubek na biurko.

– O co chodzi, Joanno? Nie mogłem po ciebie przyjechać. Czy Alice nie powiedziała ci o tym?

– Powiedziała, naturalnie. Nie ma problemu.

– A więc o co chodzi? – dopytywał się. – Widzę, że coś cię dręczy. Wpadnę do ciebie wieczorem i pogadamy.

Pora załatwić to teraz, pomyślała Joanna. Nabrała w płuca powietrza i wyrzuciła z siebie:

– Chyba nie znasz mnie zbyt dobrze, Jake. I nie ma sensu się umawiać. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Niech tak zostanie, dobrze?

Wsta!. W jego oczach błysnęła złość, chociaż twarz nawet nie drgnęła.

– Nie jestem ci nic winna – podjęła. – Wolałabym zapomnieć o wszystkim, co od ciebie usłyszałam.

– Skoro tego sobie życzysz... – rzekł, patrząc jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Tego właśnie chcę.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, wisiało nad nimi ciężkie milczenie. Potem Jake odwrócił się i wyszedł na korytarz.

– Nie jestem wścibska. Rozumiem, że nie chcesz o nim rozmawiać – rzekła Dorothy. – Zastanawiam się tylko, czy nie mogę ci jakoś pomóc.

Joanna zdobyła się na uśmiech. Współlokatorzy starali się poprawić jej nastrój. Róse przygotowywała smaczne posiłki, David zamontował w jej pokoju półkę na książki. A Dorothy... Jej oczy błyszczały teraz wściekłością, gdy ktoś mówił o Jake'u. Od uwielbienia przeszła do nienawiści.

– Dzięki, Dorothy – odparła Joanna. – Dam sobie radę. Koleżankę niełatwo było jednak zwieść.

– Wczoraj w szpitalu robiłam wszystko, żebyście nie musieli przebywać sam na sam.

Joanna przypomniała sobie wyczerpaną twarz Jake'a, gdy ubiegłego dnia odpoczywał przy kawie po szczególnie trudnym zabiegu.

– Dziękuję, ale niepotrzebnie się tak przejmujesz. Nie sądzę, żeby chciał zostawać sam ze mną, podobnie jak ja nie chcę być z nim.

To prawda. Jake był uprzejmy, ale chłodny. I tak jest dobrze, powtórzyła Joanna w myślach.

Dzień później natknęła się w szpitalu na siostrę Kenton, która

powiedziała:

– Próbuję złapać doktora O’Connora. Mamy pilne wezwanie z Hanover Park. Skomplikowany poród wieloraczków. Tej biednej matce nawet nie przyszło do głowy, żeby się zgłosić na kontrolne badanie. Niewiarygodne!

– Siostra Kenton pokręciła głową. – Tak czy owak, wezwano zespół lekarski. Przymuszcześnie pacjentkę trzeba będzie przywieźć tutaj.

Pewnie bliźnięta, a może nawet trojaczki. Joanna przeanalizowała w myślach wszelkie możliwe komplikacje. Mogą być bardzo poważne, jeżeli u przyszłej matki zdiagnozowano cukrzycę lub zaburzenia w funkcjonowaniu serca albo nerek. Dzieci zapewne przyjdą na świat przedwcześnie, co podwaja ryzyko. W grę wchodzić może jeszcze nieprawidłowe położenie płodów.

– Trzeba przygotować trzy inkubatory – Joanna poinstruowała Dorothy.

– Dodatkowe waciki, kleszcze, odciągacze śluzu, elastyczne podwiązki. Zadzwoń do Hanover Park i dowiedz się, czy mają krew do transfuzji. Może być potrzebna.

Gdy przywieziono rodzającą, Jake nadal się nie pojawiał. Do sali porodowej dostarczono dodatkowe kocę.

– Ryzyko wstrząsu? – spytała Dorothy, kiedy Joanna sprawdzała puls płodu.

– Owszem – potwierdziła Joanna. – Pani Hendriks, proszę rozluźnić mięśnie w przerwach pomiędzy parciem. O, tak jest dużo lepiej...

Odebrała pierwszego noworodka, podwiązała w dwóch miejscach pępowinę i oczyściła drogi oddechowe, po czym poleciła Dorothy umieścić dziecko w kojcu, a sama zajęła się rodzającą. Zrozumiała, że z drugim dzieckiem będzie trudniej.

– Jak idzie, siostrze?

Głos Jake'a sprawił jej ulgę. Pielęgniarka zawiązywała mu kitel, podczas gdy on wciągał na dłonie gumowe rękawice.

– Pierwsze dziecko w porządku, drugie ma przodowanie pośladkowe – wyjaśniła zwięźle.

– Tętno płodu?

– Słabe.

Spojrzeni na siebie ponad maskami. Oboje wiedzieli, że drugie dziecko musi urodzić się szybko, bo inaczej będą poważne kłopoty.

– Pani Hendricks, proszę mocno przeć – polecił matce.

– Jestem bardzo zmęczona, doktorze. Nie mogę – odezwała się kobieta.

– Może pani. – Głos Jake'a był miły, ale stanowczy. – Proszę chwycić siostrę za rękę. O tak. No, jeszcze raz!

Drugie z dzieci przyszło wreszcie na świat. Jake fachowo wyplątał jego malutką szyjkę z pępownicy.

– Niemowlę numer dwa! – krzyknął do Joanny. – Na szczęście tylko dwojaczki. Chłopiec i dziewczynka, pani Hendricks, oba zdrowe. Udało się pani.

Chwilę potem, pijąc wraz z obiema pielęgniarkami kawę, stwierdził:

– Nie ma sensu wyrzucać jej teraz, że nie zgłosiła się na badania kontrolne, ale parę słów przed wypisem ze szpitala nie zaszkodzi. Mogło być bardzo źle. Miała piekielne szczęście, że urodziła zdrowe dzieci.

– I to całkiem spore, jak na bliźniaki – zauważyła Joanna.

– Dzięki Bogu, sama okazała się całkiem zdrowa.

– Więcej ma szczęścia niż rozumu, co? – zażartował Jake, odstawiając kubek. Zaraz jednak spoważniał, jakby pod wpływem niemiłego

wspomnienia. Jego oczy znowu stały się zimne.

– Dziękuję wam – rzekł. – Dobra robota.

Odwrócił się i odszedł. Dorothy spojrzała na koleżankę.

– Znakomity z niego lekarz, prawda?

– Tak. Jest doskonałym fachowcem – przyznała Joanna. Zajął się wypełnianiem karty pacjentki, nadal zmieszana nagłą zmianą nastroju Jake'a. Joanno Boyd, jesteś głupia, upomniała się surowo. Nie można mieć wszystkiego naraz. Chciałaś wykreślić go z życia osobistego, więc ciesz się, kiedy twoje pragnienie się spełnia.

Z czasem wszystko powinno wrócić do normy. Przyzwyczai się do tego chłodu między nimi. Jednak po chwili zadała sobie pytanie: Kogo ja chcę oszukać?

Kilka dni po powrocie do pracy odebrała telefon od Alice, która pytała o jej samopoczucie, o to, czy dużo odpoczywa, czy dobrze się odżywia. Wkrótce potem zadzwoniła ponownie.

– Kiedy się zobaczymy? Masz wolne w ten weekend Joanno? A co z Jakim, może przyjechalibyście razem?

– Przykro mi, Alice, tym razem będę zajęta. Postaram się zatelefonować w przyszłym tygodniu. Myślę o tym, żeby pojechać moim samochodem, ale dam ci znać. Co tam u Cathy?

Alice jakby się chwilę zastanawiała.

– Wszystko w porządku – odparła ostrożnie. – Jest tylko trochę zła, bo Philip nie pozwala jej na przejażdżki po tamtym upadku. Wpadnij do nas niebawem, Joanno.

Obiecała, że to zrobi. Tylko bez Jake'a, szybko dorzuciła w myślach. Dziwne, zastanawiała się czasami, że to Alice, a nie jej mąż, utrzymuje

bliższe kontakty z Jakiem. I dlaczego Philip na to zezwala, biorąc pod uwagę swój stosunek do kuzyna? Coś tu nie gra. Czemu właściwie Jake nie odsunął się od nich po wypadku, kiedy Alice postanowiła zostać z Philipem?

Nasunęło się jej pewne wytłumaczenie tej zagadki. Może to Jake nie może odejść? Możliwe, że nadal zależy mu, na Alice, chce ją widywać od czasu do czasu? Niewykluczone, że Joanna posłużyła mu za przyzwoitkę w tej chytrej grze: udawał, że coś ich łączy.

Powiedział pewnego razu, że Alice chce mu znaleźć odpowiednią dziewczynę. Może sama pragnie w ten sposób uciszyć swoje sumienie?

Może... Może...

Jedyna pewna rzecz, upomniała się Joanna, to ta, że doktorowi O'Connorowi nie należało ufać od samego początku. Mądrzej by zrobiła, gdyby cały czas trzymała się od niego z daleka. Oszczędziłaby sobie obecnych problemów.

Bo w istocie często budziła się w nocy ze łzami na policzkach. Tęskniła za nim...

Zajęta swoimi sprawami, ze zdumieniem stwierdziła pewnego dnia, że coś dzieje się z Dorothy i Davidem. Ona wprost kwitła, a on był bardziej roztargniony niż zazwyczaj.

– Nie, nie, w szpitalu radzi sobie świetnie – zapewniła Joannę Rose, która pracowała z Davidem na tym samym oddziale.

– Tylko kiedy są razem, tracą głowę. Lepiej żeby nie kryli się z tym przed innymi!

Parę dni później w istocie wybuchła bomba. Dorothy z radością zawołała do Joanny:

– Zaręczyliśmy się! Popatrz. – I pokazała jej pierścionek z małymi brylantami oraz rubinami. – Zawsze marzyłam o takim staroświeckim cacku. Znaleźliśmy go w sklepie z antykami. Czy nie jest piękny?

– Śliczny – przyznała Joanna, ściskając przyjaciół. – Gratulacje. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

– Jeszcze nie stać nas na ślub, ale w końcu się pobierzemy – rzekł David wesoło i spojrzał na swą wybrankę. – Zwolnię swój pokój, bo przenoszę się do narzeczonej.

– Masz wolną sobotę, prawda? – Dorothy zagadnęła Joannę.

– Zrobimy małą uroczystość na plaży nad zatoką Camps.

W sobotę pogoda była przepiękna. By zabić czas, Joanna przygotowała na kolację szaszłyki, bułeczki oraz sałatki. Jakoś nie przyszło jej do głowy, by zapytać, na przyjęciu będzie także Jake. Dorothy poruszyła tę kwestię podczas pakowania kosza z jedzeniem.

– David czuł się w obowiązku zaprosić Jake’a – wyjaśniła. – Pracował z nim, zanim przeszedł na oddział urazowy. I bardzo się przyjaźnili. Myśleliśmy, że Jake będzie zajęty, ale powiedział, że właśnie się z kimś zamienił na dyżury, więc... Nie masz nic przeciwko temu, Joanno?

– Oczywiście, że nie. Nieważne czy go spotkam, czy nie. Powiedziała to niby szczerze, mimo to jej serce zaczęło bić szybciej, kiedy przyjechali na plażę. Korzystając z blasku zachodzącego już słońca, David z Jakiem rozpalali ognisko.

– Gratuluję, Dorothy – powiedział Jake radośnie. – Prywatnie mogę zwracać się do ciebie po imieniu, prawda? Właśnie mówiłem Davidowi, że ma niesamowite szczęście.

– Oboje jesteśmy szczęśliwi. – Dorothy niespokojnie zerknęła z ukosa

na Joannę, dodając: – Dziś możemy dać sobie spokój z formalnościami, prawda?

Joanna nie zaproponowała, nie chcąc psuć uroczystości przyjaciół. Uśmiechnęła się do Jake'a, lecz zarazem uniosła dumnie głowę. Nie umknęło to jego uwagi.

– A więc wy, mieszkańcy Południowej Afryki, pokażecie dziś obcokrajowcom, czyli mnie i Joannie, jak obchodzi się tu zaręczyny – oświadczył. – Słyszałem, że panuje tutaj taka tradycja, zgodnie z którą mężczyźni mają doglądać ognia, a kobiety przygotowywać posiłek. Czy to znaczy, że będziemy bawili się osobno? Wolałbym spędzić ten wieczór również w damskim towarzystwie, mimo że David jest moim dobrym kumplem.

Dorothy zaśmiała się, zapewniając jednocześnie, że jego obawy są bezpodstawne.

Po chwili zaczęli przybywać inni goście. Jakim niezwłocznie zajęły się jego znajome ze szpitala, w tym pewna atrakcyjna,

rudowłosa lekarka. Joanna też nie mogła narzekać na brak towarzystwa: Trevor, księgowy, którego poznała kiedyś na przyjęciu w nowym domu, był najwyraźniej zachwycony jej widokiem. Powiedział, że wrócił niedawno z nart, lecz teraz ma dłuższą pracę w samym Kapsztadzie.

Wokół rozchodziła się apetyczna woń pieczonego mięsa. David zaczął ustawiać papierowe talerze z jedzeniem na stolikach turystycznych. Słońce już dawno zaszło, księżyc odbijał się w morzu, a na niebie świeciły gwiazdy.

– Inaczej tu niż na przyjęciach w Anglii, prawda, Jake? – zapytała ruda lekarka. – Jesteś zadowolony z przyjazdu do Kapsztadu?

Joanna spostrzegła w mroku oczy Jake'a. Patrzył kpiąco, wyzywająco.

– I cóż mam ci na to odpowiedzieć? – Otoczył szczupłą lekarkę ramieniem. – Naturalnie. I nie chodzi mi tylko o pogodę. Cieszę się, że pracuję z takimi aniołami jak ty.

– A co z dziewczynami, które zostawiłeś w kraju, ty irlandzki uwodzicielu? – spytała tamta ze śmiechem.

Nagle Joannę ogarnęła złość. Porzucone dziewczyny? Helen Johnson, zapłakana tamtego dnia w ogrodzie. A po przyjeździe tutaj Jake zaczął igrać z uczuciami żony kuzyna. Wstała i podeszła do stołu z jedzeniem. Odstawiła talerz i kieliszek z winem, po czym ruszyła w stronę spowitej w mroku plaży, pozostawiając za sobą gwar wesołych rozmów. Była pewna, że nikt nie zauważył jej odejścia.

Czuła pod bosymi stopami ciepły piasek. Słyszała szum fal obmywających brzeg, rozbijających się o pobliskie skały. Naraz tuż obok niej zjawił się Jake.

– Oszalałaś? – spytał ze złością. – Spacerujesz samotnie po plaży w takich ciemnościach, w takim stroju? Chcesz sobie napytać biedy?

Joanna drgnęła zaskoczona. Miała na sobie letnią, bawełnianą sukienkę. Co niby znaczyło: „W takim stroju”?

– Nic mi się nie stanie – odparła, jakby się tłumacząc. – Odeszłam tylko na moment, poza tym... księżyc świeci...

– Idealna noc dla włóczęgów albo wyrostków szukających przygód. A także zboczeńców polujących na samotne kobiety.

Jego ton był bardziej szorstki niż same słowa. Spojrzała na niego zdumiona.

– O tym nie pomyślałam – przyznała. – Sądziłam, że to bezpieczna

plaża.

– Pewnie bezpieczna – rzekł z westchnieniem – ale po prostu przestraszyłem się, kiedy odeszłaś.

Joanna przypomniała sobie swoje wcześniejsze postanowienie: nie wywoływać scen, nie psuć przyjęcia przyjaciółom.

– A gdybym musiała pójść do toalety? – zapytała.

– Toaleta jest w przeciwnym kierunku – odparł.

– W każdym razie dziękuję – powiedziała sucho. – Za troskę. Nawet trochę nadmierną. Nie chcę cię pozbawiać miłego towarzystwa. Zaraz wrócę. Sama.

– Nic z tego – rzekł twardo. – Wrócimy razem. To ją rozzłościło.

– Nie masz prawa mi rozkazywać, Jake. Chwycił ją za ramiona.

– Jasne, Joanno. A ty też nie musisz przede mną zgrywać ani naiwnej, ani upartej – mruknął zachrypniętym głosem.

Słyszała swój nierówny oddech, dudnienie swego serca. Wiedziała, że powinna odejść, a jednak stała bez ruchu.

Wtedy ją pocałował, brutalnie i ze złością. Jednak po chwili jego złość minęła. Byli sami w tej części plaży, owładnięci falą namiętności. Padli sobie w ramiona, zapomnieli o bożym świecie. Gdy Joanna nieco oprzytomniała, poczuła ciepły piasek na plecach. Twarz Jake'a była bardzo blisko.

– Powinienem powiedzieć, że mi przykro – zaczął – ale to nieprawda. – Lekko dotknął palcem jej ust. – Och, Joanno, Joanno. Co nas od siebie oddzieliło?

Odsunęła się od niego i usiadła, poprawiając ubranie.

– Jeżeli sam tego nie wiesz, to ja ci tego nie powiem. – Po czym zebrała

się na odwagę i dodała drżącym głosem: – A jednak powinieneś wiedzieć, dlaczego tak cię traktowałam.

– Czy po tym, co stało się przed chwilą, nic się nie zmieniło? – spytał z napięciem w głosie.

– A sądziłeś, że się zmieni? – Teraz wiedziała, że nie powinna była do tego dopuścić.

Spostrzegła, że Jake jest znowu zły.

– To się musiało stać. I dobrze o tym wiesz – rzucił.

Nie znalazła słów, by mu odpowiedzieć. Wstała i ruszyła w stronę ognia i ludzi.

Byle dalej od Jake'a O'Connora.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na jej widok żadna z osób przy ognisku nie powiedziała ani słowa. Joanna była nawet z tego zadowolona. Nie miała tylko pojęcia, jak przetrwa resztę wieczoru.

Dopiero znacznie później, już w domu, Dorothy napomknęła ostrożnie:

– Widziałam, że zniknęliście gdzieś z Jakiem...

Joanna poczuła się tak, jakby prawda o zdarzeniu na plaży była wypisana na jej twarzy. Zdołała się odwrócić i zajęła się wycieraniem naczyń, nim wreszcie odpowiedziała:

– Chyba nie wszyscy spędzili cały czas przy ognisku? Dorothy nie zapytała już o nic więcej.

W szpitalu Jake, mimo obaw Joanny, jak dawniej, zachował chłodny, uprzejmy dystans. Ich współpraca nadal układała się bez zarzutu. Dla niego cenna była jej fachowa asysta. W pracy dawali sobie wszystko, czego nawzajem od siebie mogli oczekiwać lekarz i pielęgniarz.

Pewnego dnia niespodziewanie odwiedził ją w domu.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzucił od progu. I zaraz dodał, widząc jej niechętną reakcję: – O Alice. – Spojrzał na nią ponuro. – Mogę wejść, czy będziemy tak tu stać? Nie musisz się mnie obawiać, chociaż pewnie trudno ci w to uwierzyć.

Zaczerwieniła się, a potem bez słowa wpuściła go do środka. Była w domu sama.

Jake nie usiadł, tylko od razu przeszedł do rzeczy:

– Tutejszy czołowy neurochirurg, Brian Bristow, wkrótce wyjeżdża do Ameryki. Tylko on jest w stanie przeprowadzić operację, po której Alice odzyska władzę w nogach. Rozmawiałem z nim niedawno. Obejrzał właśnie zdjęcia rentgenowskie jej kręgosłupa i dziś do mnie zadzwonił. Przed wyjazdem może ją zoperować, jeżeli wynik angiogramu będzie pozytywny.

Spojrzał Joannie prosto w oczy.

– Chcę, żebyś spotkała się z Philipem, i pomówiła z nim. Alice nie zrobi niczego bez jego zgody. Rozmawialiśmy o tym, jest gotowa podjąć ryzyko, ale Philip... Nie umiemy się dogadać. Nie wiem dlaczego, ale tak już jest. Traktuje mnie jak obcego człowieka, jakbym nie miał prawa ingerować! w jego prywatne życie.

– A masz takie prawo? – zapytała bez namysłu.

– W tym przypadku? Oczywiście. Nie zniósłbym myśli, że Alice traci jedyną szansę, że do śmierci będzie skazana na wózek inwalidzki. To szansa dla niej, lecz także dla Cathy. I dla Philipa. A więc spróbujesz go przekonać? Dla dobra Alice?

Joanna odwróciła głowę.

– Nie wiem, czy to coś da – odpowiedziała cicho.

A jednak czuła, że powinna spróbować. Tak jak powiedział Jake: dla dobra Alice i Cathy.

– Nie licz, że coś wskóram, ale... spróbuję. Nieoczekiwanie Jake uśmiechnął się do niej – ciepłym, przyjaznym uśmiechem, którym nie obdarzył jej od dawna.

– Dziękuję ci, Joanno. Dasz mi znać, dobrze? Przytaknęła. W progu odwrócił się w jej stronę, zawahał, jak gdyby chciał coś dodać, lecz po

chwili skinął głową i ruszył do swego samochodu.

Nie było czasu do stracenia, choć Joanna nie miała pojęcia, w jaki sposób nakłoni Philipa do zgody na operację żony. Zadzwoiła do Alice, pytając, czy mogłaby do niej wpaść w sobotę. Jej radosna reakcja zawstydziła trochę Joannę; długo się nie odzywała do swej samotnej przyjaciółki.

Na podjeździe czekała na nią Cathy z psem. Philip i Alice siedzieli na werandzie.

– Waśnie pijemy kawę – rzekła Alice, przywitawszy się z Joanną. – No, wyglądasz świetnie. Anna ciągle narzekała, że za szybko puściła cię do pracy.

Nalała gorącego płynu do filiżanki stojącej na wiklinowym stoliku. Cathy przysiadła obok nich na taborecie. Zerknęła na matytę, a potem powiedziała:

– Wiesz co, Joanno? Mama mojej koleżanki, Julie Morton, chce, żebym pojechała z nimi za tydzień nad morze do Hermanus. Będzie fajnie. Dzieci mogą tam spać w wielkim pokoju na poddaszu...

– Cathy – przerwał jej Philip ostrzegawczo. – Przecież wiesz, że dopiero mamy o tym porozmawiać.

– To znaczy, że nie pojedę – stwierdziła dziewczynka ze smutkiem.

– Zobaczymy – odparł ojciec. – Ale chyba nie chcesz zostawić Simby na całe trzy dni? Będzie bardzo tęsknił.

– Nie będzie. – Cathy wygięła usta w podkówkę. – Zostanie przecież z tobą i mamusią. A może pojechałby ze mną? Julie zawsze zabiera swojego pieska, Rufusa, a Rufus i Simba bardzo się lubią.

– Zostawmy na razie ten temat, Cathy – powiedział Philip.

Dziewczynka uznała, że lepiej nie sprzeczać się z ojcem.

Zjedli lunch na werandzie, a potem Philip delikatnie przeniósł Alice z wózka na kanapę. Gdy umieścił jej pod głową poduszkę, uśmiechnęła się do niego. Joanna pomyślała, że nawet jeśli w przeszłości się między nimi nie układało, to jedno było pewne – nadal się kochali.

– Ależ jest gorąco – odezwała się Alice. – Chyba się zdrzemnę. Philipie, może pokażesz naszemu gościowi sad? Wygląda teraz pięknie. A ty, Cathy, zostań ze mną.

Ona wie, pomyślała Joanna. Wie, że Jake prosił mnie, abym porozmawiała z Philipem.

O dziwo, on nie dostrzegł niczego podejrzanego w propozycji żony i posłusznie ruszył w stronę ogrodu.

– W jakiej formie jest, twoim zdaniem, Alice? – spytał, gdy znaleźli się w cieniu drzew.

– Niezłej – odparła Joanna po chwili wahania – chociaż... wygląda na trochę zmęczoną. Mówi mniej niż zwykle... – Wzięła głęboki oddech. – Philipie, chciałabym o czymś z tobą pomówić. To ma związek z Alice.

Dostrzegła, że natychmiast się najeżył, pokonała jednak lęk i opowiedziała mu o planowanym wyjeździe neurochirurga oraz szansie dla Alice – szansie, jakiej nie wolno stracić.

– Wiem i rozumiem, że świadomość ryzyka cię przeraża, ale to chyba nie jest wystarczający powód, żeby zupełnie odrzucać pomysł operacji.

– Znam stan jej serca – stwierdził chłodno. – Rozmawiałem o tej sprawie z wieloma lekarzami. Wszyscy mówili zgodnie, że wszelkie zabiegi inwazyjne wiążą się z zagrożeniem. Pracujesz w szpitalu, więc chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. EKG Alice nie jest dobre, ona musi co

pół roku odwiedzać kardiologa.

1 ty jeszcze mówisz o operacji!

Nie powinnam się na niego złościć, pomyślała. Powoduje nim miłość i troska. Westchnęła i uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

– Phitipie, chodzi na razie tylko o angiogram, który dokładniej określi stan serca Alice. Jeżeli wynik badania okaże się dobry, to operacja nie będzie tak ryzykowna.

Philip odwrócił głowę.

– Nie chcę jej stracić – powiedział głucho.

Nic nie wskóram, przemknęło Joannie przez głowę. On nie zmieni zdania. Mimo to spróbowała jeszcze raz.

– A nie chcesz, żeby Alice znowu poruszała się o własnych siłach? Chcesz uzależnić ją od siebie na resztę życia? Nie masz zamiaru dać jej szansy, Philipie?

Bez słowa zawrócił w stronę domu. Po chwili przystanął, spojrzął na nią ostro i rzucił:

– Proszę, nie wspominaj o tym Alice.

Przez resztę dnia pilnował, by obie kobiety nie zostały sam na sam. Dopiero tuż przed odjazdem Joanny Alice chwyciła ją za rękę i powiedziała szeptem:

– Dzięki za starania. O niesie nie martw.

Ale jak tu się nie martwić? – myślała Joanna w drodze powrotnej do Kapsztadu. Angiogram równie dobrze mógł wykazać, że operacja wiąże się z zagrożeniem. I co wtedy?

– Wszystko na nic. Philip mówi, że nie chce jej stracić, a badanie inwazyjne jest niebezpieczne – poinformowała nazajutrz Jake'a, gdy

skończyli poranny obchód.

Westchnął.

– W zasadzie ma rację. I trzeba to wziąć pod uwagę. Tylko że bez angiogramu nie może być mowy o operacji. Jeżeli Philip się nie zgodzi, pozbawi Alice jedynej szansy. – Dopił kawę, którą mu Joanna zaparzyła, a następnie dodał chłodno: – Dziękuję, że próbowałaś.

Ale nic z tego nie wyszło, pomyślała. Alice już pewnie nigdy nie będzie chodzić. Jednakże wieczorem dwa dni później zadzwonił Philip.

– Joanno – zaczął – przemyślałem naszą ostatnią rozmowę. Przez te lata po wypadku wciąż gnębiła mnie myśl, że Alice już nigdy nie odzyska władzy w nogach. Ty jednak zmusiłaś mnie do tego, żeby się nad tym zastanowić. – Nie dając jej czasu na odpowiedź, podjął: – Byłem naturalnie przerażony, ale zarazem diabeł wciąż szeptał mi do ucha: żona na wózku nigdy cię nie opuści. Poza tym naprawdę obawiam się, czy jej serce przetrzyma operację.

– Rozumiem cię, Philipie – rzekła cicho Joanna.

– Nasza rozmowa dała mi jednak do myślenia i doszedłem do wniosku, że masz rację. Alice powinna spróbować. Musimy dokładnie ustalić, jakie jest ryzyko. I na coś się zdecydować.

– Tu, w szpitalu, mamy znakomitych kardiologów, Philipie. Dysponują najnowocześniejszym sprzętem medycznym. Można liczyć na ich fachowość. – Zawahała się. – Chcesz sam pomówić z Jakiem, czy ja mam mu przekazać, żeby wszystko co zorganizował?

– Wolałbym zdać się na ciebie – odparł, tak jak się zresztą spodziewała.

Następnego dnia, kiedy opowiedziała Jake'owi o rozmowie z Philipem, jego twarz na moment straciła profesjonalny chłód. Czyżby nim także

targały mieszane uczucia? – zastanawiała się Joanna.

– Udało ci się, przekonałaś go! – zawołał z uśmiechem. – Brawo! – I po chwili, już całkiem innym tonem dodał, że zaraz poczyni odpowiednie przygotowania. – Na szczęście, mam tutaj trochę znajomości.

Z pewnością tak było, jako że zaledwie dwa dni później Philip przywiózł Alice do jednego z kardiologów. Joanna natknęła się na niego w poczekalni. Po upływie godziny, która dłużyła się im niemiłosiernie, drzwi się otworzyły i siwy lekarz kardiolog, którego znała z widzenia, przywołał oboje skinieniem głowy.

– Siostro, pacjentka chce się zobaczyć także z panią. Alice była blada, zdenerwowana, ale zdobyła się na uśmiech.

Lekarz usiadł za biurkiem i spojrzał na nich z namysłem.

– Postaram się mówić zwięźle – powiedział – unikając nadmiaru fachowej terminologii. EKG nie wyszło najlepiej, to prawda, ale jest coś, co mnie trochę zastanawia. Pani Sullivan nie odczuwa bólu w klatce piersiowej ani duszności, a to jest nieco zaskakujące. Badanie polega na wprowadzeniu do żył specjalnego barwnika. Wynik badania pomoże sprecyzować diagnozę.

Przez moment patrzył Joannie w oczy.

– Jak wspomniałem, każde badanie inwazyjne wiąże się z pewnym ryzykiem. Jest ono niewielkie, ale zawsze jest. Siostro Boyd, mówiłem pacjentce, że zabieg trzeba przeprowadzić bez znieczulenia. Powinna być przytomna, bo będzie musiała kontrolować oddech. Pani Sullivan chce, żeby badanie odbyło się w obecności siostry Boyd. Porozmawiam o tym z siostrą Kenton, którą dobrze znam.

Joanna odprowadziła Philipa i Alice na parking.

– Trochę się denerwuję, dlatego wolę cię mieć przy sobie – wyjaśniła przyjaciółce Alice, gdy mąż ulokował ją wygodnie w samochodzie.

Wkładając fartuch oraz czepek, Joanna uświadomiła sobie, że od dawna nie asystowała przy podobnym zabiegu. Siostra w sali operacyjnej poleciła jej stanąć w miejscu, skąd mogła widzieć obraz na monitorze. Alice była nieco oszołomiona na skutek działania środka uspokajającego.

– Cześć! – Ożywiła się nieco na widok Joanny. – Bardzo tajemniczo to wszystko wygląda.

Ustawiono nad nią wielki aparat. Wkrótce przyszedł kardiolog, doktor Morton. Wyjaśnił Alice, że zrobi jej małe nacięcie w okolicy pachwiny, by wprowadzić do krwiobiegu kontrast.

– To trochę nieprzyjemne – ostrzegł. – Co pewien czas będę informował, kiedy należy wziąć głęboki oddech.

Joanna czuła się dosyć dziwnie w roli biernej asystentki. Raz czy dwa uśmiechnęła się do Alice, chcąc dodać jej otuchy. Zerknęła też stale na monitor. Badanie trwało długo, a gdy dobiegło końca, poczuła, że zeszywniały jej nogi.

Pacjentka została zabrana na oddział, gdzie przez resztę dnia musiała leżeć bez ruchu. Joanna kilkakrotnie do niej zaglądała. W czasie jednej z takich wizyt do pokoju przyszedł doktor Morton.

~ Szkoda, że nie ma teraz z panią męża, pani Sullivan – rzekł z uśmiechem – bo mam dobrą wiadomość. Pani serce jest w porządku.

– No ale EKG... – zaczęła Alice.

– Czasami, choć rzadko, elektrokardiogram daje fałszywy wynik. Podejrzywałem, że tak mogło być w pani przypadku, ale nie chciałem rozbudzać przedwcześnie nadziei. Teraz już mamy pewność. Cieszy

mnie, że mogę to stwierdzić. Wkrótce ustalili pani z doktorem Bristowem termin operacji, prawda?

– No... tak. Tak sędzę – odrzekła Alice, wyraźnie oszołomiona. – Wcześniej muszę porozmawiać z mężem.

Gdy doktor Morton wyszedł, Joanna powiedziała:

– Jake sam pogada z Bristowem. Czy Philip ma coś przeciwko temu?

– Nie mam pojęcia. – Alice odwróciła wzrok. – Kto wie, może, jeśli operacja się powiedzie i odzyskam władzę w nogach, Philip znowu zaprzyjaźni się z Jakiem...

Nie liczyłabym na to, pomyślała Joanna, wychodząc. Przypomniała sobie gorycz w głosie Philipa, gdy ten oznajmił jej, że to właśnie dla Jake'a żona zamierzała go kiedyś zostawić. Może Alice zdołała już o tym zapomnieć, i Jake również? Philip raczej nie puści tamtej historii tak łatwo w niepamięć.

Tego wieczoru na Joannę czekał w domu list, który zmusił ją do przemyślenia na nowo wszystkiego, co wiedziała o Jake'u.

– List z Anglii do ciebie – powiedziała Dorothy, podając jej kopertę. – Od kóregoś z dawnych przyjaciół?

Joanna spojrzała na adres zwrotny.

– Od przyjaciółki – stwierdziła. – Od Pat Hale. Pracowałyśmy razem w szpitalu św. Małgorzaty.

Przygotowała sobie herbatę, a potem poszła z listem na werandę. Pat pisała najpierw o koszarnej pogodzie, jaka w Anglii na święta była już tradycją, a potem zajęła się plotkami.

*„A teraz coś, co cię być może zaziwi. Pamiętasz Jake'a O'Connora*

*oraz tamtą historię z Helen Johnson? Pamiętasz, jakie byłyśmy wściekle, kiedy ją porzucił? Cóż, poznałam kulisy tej sprawy. Otóż Jake odkrył, że Helen miała romans z Dickiem Kennedym z ortopedii – żonatym facetem z dwójką dzieci, z których jedno ma zespół Downa. Jake dowiedział się o tym i zerwał z nią, bo Helen po prostu go oszukiwała. Chyba więc zbyt surowo go ocenialiśmy”.*

Joanna powoli złożyła list. A więc jednak się pomyliłam, pomyślała z goryczą. Nic dziwnego, że był na mnie zły: pochopnie wydałam wyrok, nie znając całej prawdy.

Pozostawało jednak jeszcze jedno pytanie.

Skoro pomyliła się co do Jake’a oraz Helen, to może wyciągnęła też pochopne wnioski dotyczące jego zażyłości z Alice? Może mylił się też Philip? Przypomniała sobie jego słowa... W zasadzie opierał się tylko na domysłach. Alice przecież nigdy nie wspomniała, że coś ją łączyło z Jakiem.

Muszę poznać prawdę, pomyślała Joanna. I Philip także.

Zawstydziła się, uświadamiając sobie, że tak beztrosko przyjęła za pewnik jego opinię. Nawet nie przyszło jej do głowy – ani wtedy, ani potem – że mógł błędnie zrozumieć słowa żony. Zapewne w duchu pragnęła, ażeby tym mężczyzną, którego Alice darzyła skrytą miłością, nie okazał się Jake.

Nie wiedziała, w jaki sposób podzielić się tymi refleksjami z Philipem. O podobnych sprawach nie wypada rozmawiać przez telefon. Nazajutrz zadzwoniła do Alice i spytała ją o samopoczucie oraz planowaną operację.

– Operacja będzie w przyszłym tygodniu – usłyszała. – Rozmawiałam

dzisiaj rano z neurochirurgiem. Stwierdził, że trzeba odczekać kilka dni po angiogramie, ale chce przeprowadzić zabieg jak najszybciej, żeby przed wyjazdem do Ameryki mógł jeszcze nadzorować mój powrót do zdrowia. – Zaśmiała się trochę nerwowo. – Spodobał mi się ten zwrot, „powrót do zdrowia”. Ale na razie jeszcze nie wiem, na co mogę liczyć. Muszę iść do szpitala dzień” wcześniej, żeby zrobić badania. Odwiedzisz mnie wtedy?

– Oczywiście – obiecała Joanna.

Z pewnością nie ja jedna, dopowiedziała w myślach. Jeżeli szybko nie porozmawiam z Philipem, to on na wieść, że Jake spotka się z jego żoną, pewnie się zirytuje. A jeśli, nie daj Boże, urządzi jej awanturę przed samą operacją, może się to wszystko źle skończyć.

Sam Jake stwierdził! lakonicznie, że Joanna zapewne już wie o planowanej operacji Alice. Przytaknęła mu skinieniem głowy; to wszystko. Jednak patrzyła teraz na niego inaczej niż dotychczas. I żałowała, że tak późno poznała okoliczności zerwania zaręczyn z Helen Johnson.

Dzień przed operacją Joanna wpadła do Alice w porze lunchu. Przyjaciółka siedziała na łóżku, na włosach miała błękitną przepaskę, którą kiedyś od niej dostała. Wyglądała nieźle, chociaż była trochę zdenerwowana. Dopiero po chwili Joanna ujrzała Philipa. Stał przy oknie.

– Wiedziałam, że zajrzysz – odezwała się do niej Alice. – Miałam nadzieję, że znasz szpital na tyle dobrze, że mnie znajdziesz. Łatwo się tu zgubić.

– Ortopedia jest rzeczywiście dość daleko. – Joanna przytuliła Alice serdecznie. – Pewnie nie dają ci spokoju przez te badania?

– To prawda. Doktor Bristow chce wykluczyć wszelkie ryzyko.

– Te badania są bardzo wyczerpujące – wtrącił Philip ponuro.

Joanna usiadła przy łóżku i porozmawiały jeszcze trochę.

Alice niepokoiła się o Cathy, która denerwowała się operacją matki.

– Zadzwońię do niej dziś wieczorem – obiecała Joanna. – Może ją trochę uspokoję.

Zastanawiała się, jak wyciągnąć Philipa na korytarz, gdy zjawiała się pielęgniarka ze strzykawką w dłoni.

– Przykro mi, pani Sullivan. Musimy jeszcze pobrać krew do analizy, ale to już ostatnie badanie. Nie, nie musi pan wychodzić, panie Sullivan, to potrwa tylko chwilkę.

– Phiiiipie, w samochodzie są winogrona – rzuciła Alice. – Przywieźliśmy trochę dla ciebie, Joanno. Zejdźcie po nie razem. I przynieście trochę dla Jake’a. Jestem pewna, że mnie odwiedzi.

Dopiero po wyjściu z tłoczego szpitala na pobliski parking Joanna postanowiła przejść do sedna.

– Muszę z tobą porozmawiać, Phiiiipie – rzekła, gdy otwierał bagażnik.

Odetchnęła głęboko, a potem spokojnym głosem opowiedziała mu o otrzymanym liście i o tym, dlaczego Jake zerwał swe zaręczyny z Helen Johnson.

– Sądziłam, zresztą nie tylko ja, że to on rzucił Helen, że to była jego wina. – Spojrzała Philipowi w oczy. – Myliłam się, Phiiiipie. Może ty też się pomyliłeś, przypuszczając, że Alice zakochała się w Jake’u.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, nie – zaprzeczył gwałtownie. – Na pewno chodziło o niego.

– Ona nie powiedziała, że to był Jake – upierała się Joanna, i wtedy na twarzy Philipa pojawił się wyraz niepewności. – Posłuchaj, oboje musimy

poznać prawdę.

Tym razem nie zaprzeczył.

– Musisz uczynić pierwszy krok: porozmawiać szczerze z Alice. Zrób to jednak z wyczuciem. Jeżeli się okaże, że przez cały czas trwałeś w błędnym przekonaniu, ona nie powinna się dowiedzieć, że podejrzewałeś Jake'a.

Philip ściągnął brwi.

– A jeśli się nie myliłem?

– Wtedy rozwiejesz swoje wątpliwości – odparła cicho. Dopiero później, gdy została już sama, zadała sobie pytanie, do czego zmierza od chwili przeczytania listu od Pat. Przecież nieodwołalnie odrzuciła możliwość związania się z Jakiem, gdy tak łatwo uznała domysły Philipa za prawdę.

Zatelefonowała do Cathy i poinformowała dziewczynkę, że widziała się w szpitalu z jej matką.

– Po operacji tatuś zawiezie mnie do mamusi – oznajmiła Cathy. – Ale tatuś powiedział, że mama może nie tak prędko wrócić do domu. – Westchnęła. – Tęsknię za mamusią, Joanno. I Simba też.

Joanna zastanowiła się przez chwilę.

– Mam pewien pomysł, Cathy. Poproś tatusia, żeby powiesił ci w pokoju kalendarz i co wieczór przed snem skreślaj kolejny dzień. A gdy pan doktor powie, kiedy mama wróci do domu, zaznacz tę datę czerwonym kółkiem. I będziesz widziała, jak szybko krzyżyki zbliżają się do kółeczka.

W słuchawce zapanowało na moment milczenie.

– To chyba fajna myśl – stwierdziła w końcu dziewczynka.

– Dobranoc, Cathy – rzekła Joanna i złożyła usta, wydając odgłos całusa.

Cathy zachichotała.

– Ale śmiesznie. Dobranoc.

Następnego ranka Joanna była tak zajęta na swoim oddziale, że nie mogła wpaść do Alice przed operacją, ale przez cały czas myślała o przyjaciółce. A także o Philipie.

– Zwolnię siostrę na pół godziny – zaproponowała uprzejmie siostra Kenton. – Na razie u nas nie zanosi się na nic poważnego. Proszę więc zajrzeć na kardiologię.

Philip siedział w poczekalni, nerwowo przeglądając gazety. Dopiero po chwili spostrzegł Joannę.

– To strasznie długo trwa – powiedział bez wstępów. Wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego nerwowo. Joannie zrobiło się go trochę żal.

– Postaram się dowiedzieć, kiedy skończy się operacja – obiecała mu i odeszła do recepcji.

Po chwili wróciła do poczekalni.

– Jeszcze co najmniej godzinę – oznajmiła. – Jadłeś coś dzisiaj?

– Wyjechałem z domu wcześniej. – Pokręcił głową. – Poza tym jakoś nie miałem apetytu.

– No to chodźmy teraz do bufetu – postanowiła. – Szczerze mówiąc, wyglądasz strasznie. Lepiej żeby Alice nie widziała cię w takim stanie.

Philip zdobył się na uśmiech.

– Masz rację – przyznał, po czym spoważniał i dodał: – Muszę z tobą

porozmawiać.

W bufecie Joanna zamówiła dwie kawy oraz kanapki z serem dla Philipa. Podczas gdy on jadł, ona z bijącym sercem zastanawiała się, co zaraz od niego usłyszy.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Alice – zaczął nagle. – Nie wiem, czy pora była odpowiednia, ale musiałem się dowiedzieć. Kiedy zostaliśmy sami, zapytałem ją, czy jeśli opera

cja się uda, to między nami coś się zmieni. Czy ona zacznie nowe życie, tak jak planowała przed wypadkiem... – Umilkł na chwilę, która Joannie wydała się wiecznością. – Nawet się nie zawahała. Pokręciła głową i spytała, jak w ogóle mogę tak myśleć. Powiedziała, że wkrótce po wypadku napisała do Johna, że między nimi wszystko skończone.

– Johna? – powtórzyła Joanna.

Philip zerknął na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

– Powinienem się był domyślić. John Kirby był naszym sąsiadem. Samotny facet, często do nas zaglądał. Nie przyszło mi do głowy, że... Potem, po wypadku, sprzedał farmę i gdzieś się wyprowadził. Kiedy teraz o tym myślę, widzę wszystko w innym świetle.

– Ale dlaczego myślałeś, że chodziło o Jake'a? – spytała. I znowu Philip odpowiedział dopiero po chwili:

– Kiedy obaj byliśmy jeszcze chłopakami, wszystko układało się znakomicie. – Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. – Jednak potem, kiedy dorośliśmy, jemu zaczęło się powodzić, a mnie nie. Miał świetne wyniki w nauce, w sporcie, oglądały się za nim dziewczyny. Roztaczał urok, a ja znalazłem się w cieniu. Naturalnie nadal traktował mnie jak równego sobie. Pewnie dlatego wyniosłem się tutaj. Podświadomie

pragnąłem się go pozbyć, bo uważałem go za rywala. Wtedy on też przyjechał do Kapsztadu. Chyba się bałem, że historia zacznie się powtarzać. Obawiałem się, że odbierze mi Alice, robiłem z igły widły, traktowałem go podejrzliwie. Teraz uważam, że był po prostu przyjacielski, a Alice lubiła go tak, jak lubi się kuzyna. – Uniósł głowę. – Zanim się zjawił, między mną a Alice pojawiły się problemy. Twierdziła, że jestem zbyt zaborczy, że ją ograniczam. I miała rację. Pewnie z tego powodu zaczęła szukać pociechy u Johna.

Wstał, po czym dodał szybko:

– Dłużej tu nie wysiedzę. Muszę wracać na górę.

Joanna wyszła z nim na korytarz. W jej głowie rozpoczęła się galopada myśli. Wkrótce znaleźli się oboje w poczekalni. Chwilę później otworzyły się drzwi, z których wyszedł doktor Bristow.

– Będzie dobrze – rzucił, wyraźnie zmęczony. Philip zerwał się na nogi.

– To znaczy... ?

– To znaczy, że jeżeli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, ona będzie mogła chodzić. – Neurochirurg się uśmiechnął – Jej układ nerwowy nie doznał tak wielkiego uszczerbku. Przez pierwsze dni będzie odczuwała silny ból, ale operacja się udała. Tyle mogę stwierdzić. Może pan zajrzeć do żony za pół godziny, chociaż nie będzie jeszcze całkowicie przytomna.

– Czy mnie pozna? – zapytał Philip.

– Sądzę, że tak – odparł lekarz i skinął głową, słysząc chaotyczne słowa podziękowania, po czym odszedł.

Joanna wróciła na oddział położniczy. Gdy spotkała tam Jake'a, zorientowała się, że wszystko już wie.

– Właśnie zamieniłem parę słów z Brianem Bristowem – wyjaśnił. – Wspaniale, prawda? Powiedział, że czekałaś razem z Philipem. Musiał chyba umierać ze zdenerwowania.

– O tak, był wyraźnie wstrząśnięty. I wykończony.

– Biedak – rzucił Jake ze szczerym współczuciem i Joanna pomyślała ze smutkiem o nieporozumieniach, jakie wcześniej poróżniły kuzynów. Po chwili jednak Jake znowu przybrał profesjonalną maskę i zapytał oficjalnym tonem: – A co się dzieje na naszym oddziale, siostrze?

– Pani Temba ma znowu wyższe ciśnienie – odparta. –

Niepokoi mnie też stan pani Jonas. Puls płodu stabilny, a jednak...

– Zaraz ją zbadam. – Jake uśmiechnął się przelotnie. – Zawsze biorę pod uwagę przeczucia.

Intuicja Joanny nie zawiodła. Jake postanowił przyspieszyć poród, a ona zdecydowała się zostać trochę dłużej na dyżurze, by mu pomóc.

– Dziecko jest zdrowe – zapewniła panią Jonas, podając jej rozwrzeszczanego noworodka.

– Zaniepokoiłam się, kiedy doktor O'Connor powiedział, że chce przyspieszyć poród – zwierzyła się młoda matka. – Myślałam, że coś nie tak z moim dzieckiem.

Mogło być niedobrze, gdybyśmy czekali, pomyślała Joanna, gdyby nie mój zawodowy instynkt oraz wiedza Jake'a.

Nie miała czasu na rozważanie tego, co powiedział jej Philip. Po dyżurze udała się od razu do Alice. Chciała ją zobaczyć, mimo że przyjaciółka z pewnością była jeszcze pod działaniem narkozy.

Widok Alice na oddziale intensywnej opieki bardzo ją poruszył. Ekrany monitorów, przewody, skomplikowana aparatura – wszystko to

złowieszczo szumiało.

– Joanna? – odezwała się Alice, otwierając oczy. – Wysłałam Philipa, żeby coś zjadł. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– To prawda. Powinien niedługo wrócić. Odpoczywaj, nie mów za dużo. Spróbuj zasnąć. Poczekam tu na niego.

Alice półprzytomnie skinęła głową i Joanna usiadła przy jej łóżku. Kiedy Philip wrócił, jego żona spała głębokim snem.

Alice wypisano do domu dopiero po dwóch tygodniach. Joanna wpadała do niej codziennie, wykorzystując każdą wolną chwilę. Philip przyjeżdżał wieczorami, a w weekendy przywoził z sobą Cathy. Dziewczynka wyglądała na nieco przerażoną, mimo że jej matka nie znajdowała się już na oddziale intensywnej opieki.

Czasami zaglądał też Jake. Był z pewnością bardzo przywiązany do żony swego kuzyna. Darzył ją przyjaźnią, ale niczym więcej, z czego Joanna w końcu zdała sobie sprawę.

Wiedziała, że musi odbyć z Jakiem poważną rozmowę. Musiała go przeprosić, opowiedzieć mu o wszystkim, co usłyszała od Philipa. Jest mu to winna. Jeśli się na to nie zdobędzie, już nigdy nie zburzy tego muru, który ich od siebie oddzielał.

Pewnego razu, gdy wychodził ze szpitala, chciała za nim pobiec i zaryzykować. A jednak ostatecznie zabrakło jej odwagi.

Alice z Philipem zaprosili ją na kilka dni do Morgenster.

– Doktor Bristow powiedział, że przez parę dni będę potrzebowała opieki – wyjaśniła Alice. – Wolałabym mieć przy sobie ciebie, a nie kogoś obcego. Anna nie lubi, kiedy nieznajome osoby kręcą się po domu.

Sprawa okazała się do załatwienia i Joanna wsiadła do karetki, która

miała odwiedzić pacjentkę do domu.

– Razem zajmiemy się moją panią – rzekła stanowczo Anna.

Joanna miała okazję się przekonać, że współpraca z gospożą układa się znakomicie. Przenosiły Alice z wózka na łóżko, a po upływie paru dni pomagały przy zabiegach fizjoterapeutycznych w basenie. – Z każdym dniem pacjentka czuła się coraz lepiej, a ból stopniowo ustępował.

– Teraz już mogę cię zostawić pod opieką Anny – powiedziała Joanna do Alice w przeddzień swojego powrotu do Kapsztadu. – Widzę, że fizjoterapia ci służy.

– W przyszłym tygodniu będę się widziała z doktorem Bristowem – odparta Alice. – Chce zobaczyć, jakie zrobiłam postępy. Nie wiem, jak mam dziękować tobie i Jakc’owi za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Przede wszystkim tobie, za to, że porozmawiałas z Philipem, że zdołałaś go przekonać. – Zawahała się. – Teraz wszystko się między nami zmieniło. I z Cathy też jest inaczej. Do Philipa dotarto, że musi dać nam trochę swobody. Rozmawiałam już z nim o następnym dziecku. Doktor Bristow powiedział, że nie powinniśmy się z tym spieszyć, ale w zasadzie nie widzi przeciwwskazań.

– Myślę, że to znakomity pomysł – ucieszyła się Joanna. Zostawiła przyjaciółkę w sypialni, a na werandzie natknęła się niespodziewanie na Jake’a.

– Anna mówiła, że Alice teraz odpoczywa – powiedział.

– Tak. Nie zaszkodzi jej godzinna drzemka. Czy... napijesz się kawy albo herbaty?

– Anna przygotowuje dla nas kawę.

Jego głos był zimny, a oczy patrzyły chłodno. Joanna wiedziała, że

musi przełamać w nim ten opór.

– Jake – zaczęła, usiłując stłumić drżenie głosu. – Muszę z tobą porozmawiać.

Uniósł brwi, spoglądając na nią nieco ironicznie.

– Czyżby? – zapytał. – Nie jestem pewien, czy mamy o czym.

– Owszem, mamy, Jake. Przede wszystkim muszę cię... przeprosić.

Jego niebieskie oczy przybrały zimny odcień. Wiedziała, że czeka ją bardzo trudne zadanie.

– Moja droga, czy nie sądzisz, że troszeczkę za późno na przeprosiny?

– zapytał.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zdołała się opanować.

– Może rzeczywiście trochę za późno – przyznała – ale lepiej późno niż wcale, Jake. Dostałam list od przyjaciółki ze szpitala świętej Małgorzaty i dowiedziałam się wreszcie, co zaszło między tobą a Helen Johnson.

Odpowiedział dopiero po chwili:

– I rzecz jasna to, czego dowiedziałas się od innej osoby, znaczy dla ciebie więcej niż to, co ja ci powiedziałem? – W jego uprzejmym głosie zabrzmiały zjadliwe tony. „

– Już ci mówiłam, że jest mi przykro – powtórzyła cicho.

– Słusznie – przyznał. – I pewnie myślisz, że to coś zmienia? Obawiam się, że teraz z kolei ja mogę spytać: i co z tego?

Straciła resztę odwagi. Sytuacja się komplikowała. Duma nakazywała Joannie odejść, ona jednak postanowiła spróbować jeszcze raz, ponieważ Jake znaczył dla niej więcej niż zraniona miłość własna.

– Jest jeszcze coś – ciągnęła, z trudem wydobywając głos. – Coś, o czym nie wiesz.

Jake powoli nappełnił filiżankę kawą, a potem podał ją Joannie.

– Wprost umieram z ciekawości – rzekł drwiąco. W Joannie coś pękło.

– Celowo mnie poniżasz, prawda? – spytała zdenerwowana.

Milczał. Po chwili, starannie dobierając słowa, zrelacjonowała mu wszystko, co wiedziała o Alice i Philipie.

– Pewnie nie wiesz, że tamten wypadek nastąpił tuż po ich kłótni. Ona uważa, że po części jest wszystkiemu winna. Powiedziała wtedy

Philipowi, że jest zaborczy, że ją wykorzystuje. Miała nawet zamiar go porzucić.

Dostrzegła, że Jake chłonie każde słowo.

– Powiedziała mu, że kocha kogoś innego. Zanim zdążyła wyznać, kogo, nastąpił ten wypadek.

Na twarzy Jake malowało się niedowierzanie.

– Philip myślał, że ona kocha ciebie, że dla ciebie chce go zostawić. Sądził tak przez cały czas. Dopiero niedawno poznał prawdę. Wie już, że to nie byłeś ty.

– A dlaczego, u Ucha, podejrzewał akurat mnie? – spytał Jake ze zdumieniem. – Czy Alice mu to zasugerowała?

Joanna pokręciła głową i zrelacjonowała mu opowieść Philipa o minionych latach, o jego kompleksach. Jake wstał, po czym podszedł do balustrady i spojrzał na ogród.

– Jak mogłem być tak ślepy? – odezwał się raczej do siebie niż do niej. – W szkole... Na uczelni... Nie domyślałem się, że Philip widzi nas w ten sposób. Byliśmy kuzynami, kumplami.

Urwał nagle. Obserwowała go, póki się nie odwrócił.

– Dziękuję ci, że jednak mi o tym powiedziałaś. – Powoli odstawił filiżankę na stolik. – Wobec tego może uda mi się odbudować przyjaźń z Philipem. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się teraz przejść. Muszę wszystko przemyśleć. Powiedz Alice, że niedługo wrócę, dobrze?

Ruszył w stronę schodów, nim zdążyła go zatrzymać.

– Jake... – szepnęła.

Odwrócił się, i wtedy spróbowała jeszcze raz:

– Jake, naprawdę mi przykro. Wzruszył ramionami.

– A ja mogę tylko powtórzyć, że trochę na to za późno.

– Sądziłam, że coś nas łączy – odparła cicho.

Podszedł do niej szybko, chwycił ją mocno za ramiona i spojrzał głęboko w oczy.

– O tak, racja, coś nas łączyło. – Przyciągnął ją do siebie, a następnie pocałował w usta, gorąco i zaborczo. Nie było w tym pocałunku nawet odrobiny czułości, a mimo to zawładnęło nią pożądanie. Nagle Jake cofnął rękę.

– Magnetyzm, elektryczna iskra... Cokolwiek to było... O tak, czuliśmy to oboje. – W jego głosie zabrzmiał taki sarkazm, że Joannę ogarnął strach. – Tylko co to było warte? Wyżej ceniłbym sobie trochę zaufania, tolerancji, powściągliwość w wydawaniu ocen.

Gdy zbiegł z werandy, Joanna patrzyła za nim przez łzy.

Nie pamiętała, w jaki sposób minęła reszta dnia. Chwilami czuła się tak, jakby od realnego świata oddzielał ją szklany ekran. Alice opowiadała Jake'owi o zabiegach fizjoterapeutycznych, przejęta Cathy skakała wokół niego, a on robił wszystko, by Joanny w ogóle nie dostrzegać.

Odniosła wrażenie, że nie uczestniczy w tej rodzinnej scenie. Raz czy dwa poczuła na sobie zatroskane spojrzenie przyjaciółki. Gdy Jake się żegnał, mówiąc, że nie może czekać na powrót Philipa, Alice chwyciła ją za rękę.

– Mogłabyś dziś pojechać z Jakiem, Joanno. I wrócić jutro. Chciałam to zaproponować, ale może to nie najlepszy pomysł.

Joanna uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Rzeczywiście, nie najlepszy.

– Miałam nadzieję, że coś będzie między wami – podjęła Alice z

wahaniem – ale dzisiaj odniosłam wrażenie, że chyba macie jakiś problem.

– Rzeczywiście – przyznała Joanna, a potem dodała z pozorną bez troską: – To nieważne. Przecież nie zawsze wszystko musi się udawać.

– Może w pracy znowu się dogadacie? Joanna pokręciła głową.

– Nie liczyłabym na to.

Spotkała Jake'a na dyżurze dwa dni później. Był uprzejmy i konkretny. Nic ponadto.

– Witamy z powrotem, siostró Boyd – zagadnęła rano pani Kenton, zerkając z ukosa na Jake'a. – Cieszymy się, że wróciła, prawda?

Jake udawał, że pilnie przegląda karty chorobowe.

– Oczywiście, że tak – odrzekł i wyszedł na korytarz.

W ciągu następnych dni w szpitalu nie brakowało zajęć. Joanny wcale to nie martwiło. Przyjęto na obserwację Pamelę Sutton, ciężarną pacjentkę, która wcześniej poddała się leczeniu bezpłodności. Joanna szczególnie ją polubiła.

– Czy moje dzieci mają się dobrze, siostró? – pytała Pamela przy każdej kontroli tętna płodów.

– Znakomicie. Słyszę wyraźnie bicie trzech zdrowych serduszek.

W wolnych chwilach obie ucinały sobie pogawędki, a właściwie Joanna słuchała, pozwalając pacjentce się wygadać.

– Mam trzydzieści pięć lat... No tak, oczywiście, siostró to wie z mojej karty. Myślałam, że już nie będę miała dzieci, ale kuracja się udała. Doktor O'Connor to prawdziwy cudotwórca. Przez cały czas podtrzymywał we mnie nadzieję. – Pogłaskała brzuch z uśmiechem. – Teraz będzie nas piątka: trójka dzieci, mąż, no i ja. Wie siostró, kiedy doktor O'Connor powiedział, że będę miała trojaczki, poczułam się zdruzgotana. Nie

imałam pojęcia, jak sobie poradzę. Ale z czasem zrozumiałam, że to były głupie obawy. Tak długo pragnęliśmy dziecka, a tu od razu trójka! A ja jeszcze marudzę, że nie damy sobie rady! Jakoś to będzie! Nie mamy za dużo pieniędzy, ale za to dość miłości dla naszych dzieci.

– Tego jestem pewna – rzekła wzruszona Joanna, wstając. – No, koniec przerwy. Czekaają na mnie dwie pacjentki.

– Szkoda, że jeszcze nie pora na mnie – rzekła Pamela – chociaż doktor bez przerwy powtarza, że każdy dzień w brzuchu to lepsza forma dzieci!

Joanna wyszła na korytarz, mając nadzieję, że uda jej się asystować podczas porodu trojaczków Pameli. Byłaby to dla niej pierwsza okazja uczestniczenia przy takim porodzie.

W czasie następnego wolnego weekendu odwiedziła Alice. Zastała przyjaciółkę w dobrym nastroju, choć nieco zaniepokojoną zbyt powolnym, jej zdaniem, powrotem do zdrowia.

– A jednak jest pewna poprawa – uznała. – Philip wciąż mi to powtarza, Jake też. – Spojrzała Joannie w oczy. – Jake nie wpadnie tu w ten weekend. Jest zawałony pracą.

Ona próbuje mnie pocieszyć, pomyślała Joanna Sama jednak wiedziała, że nie ma co liczyć na spotkanie z Jakiem; sprawdziła wcześniej rozkład dyżurów. W zeszłym tygodniu pewnie postąpił tak samo...

Alice opowiadała o Philipie, o tym, jak zmieniły się stosunki między obu mężczyznami.

– Nie mam pojęcia, w czym tkwił kiedyś problem – przyznała, zerkając na Cathy jeżdżącą na kucyku. – Philip jest zamknięty w sobie. Jednak po operacji zaszła wyraźna zmiana. Nie powiedziałabym wprawdzie, że znowu są sobie tak bliscy jak w młodości, ale... lody zostały przełamane.

No a teraz opowiedz, co u ciebie, Joanno.

– Odbieram porody – odparta ze śmiechem. – Niedługo szykują się trojaczki.

– Ach, tak, Jake o tym wspominał. Pytałam jednak, co robisz w czasie wolnym Od pracy.

– Byłam w teatrze z tym księgowym, o którym ci opowiadałam. A dzisiaj wieczorem wybieram się z Davidem, Dorothy i pewnym lekarzem do restauracji, gdzie gra orkiestra jazzowa. Poza tym... Uwierz mi, Alice, kiedy ktoś jest na nogach przez cały dzień, to wieczorem marzy głównie o tym, żeby się wykapać, przejrzeć gazety i odpocząć przed telewizorem...

To święta prawda, pomyślała, wracając samochodem do Kapsztadu. Księgowy, młody lekarz – oni są bardzo mili, ale...

Ale daleko im do Jake'a.

Ta myśl nie dawała jej spokoju. Po prostu potrzeba mi trochę czasu, powtarzała sobie. Czasu, żebym o nim zapomniała, żebym wyrzuciła go z serca. Serce nie sługa, zauważyła jednak ze smutkiem.

Już kiedyś przyszła jej do głowy podobna refleksja. Miała złamane serce, gdy skończył się jej romans z Cliffem. Cliff? Nie, wtedy było inaczej. Nie czuła się aż tak przybita. To, co było między nią a Cliffem, szybko straciło znaczenie. Tyle że gdyby nie jego wiarołomstwo, pewnie nie uwierzyłaby tak łatwo w najgorsze opowieści o Jake'u.

Parę dni później Pamela Sutton zaczęła rodzić i Joanna natychmiast wezwała Jake'a.

– Nie można tego powstrzymać? – zapytała Pamela nerwowo. – Dobrze byłoby utrzymać tę ciążę jeszcze choć przez tydzień.

Jake pokręcił głową.

– Już za późno. Dzieci są małe, ale powinny dać sobie radę. Teraz proszę odpoczywać – zwrócił się do Pameli. – Czeka panią duży wysiłek.

Wyszli na korytarz. Był wyraźnie zatroskany.

– Dzieci są bardzo drobne – stwierdził. – Mogą nie przetrzymać normalnego porodu. Zrobię cesarskie cięcie. Joanno, wiem, że to nie twój dyżur, ale proszę cię o asystowanie.

– Chętnie zostanę – odrzekła szczerze. Uwielbiała pracować z Jakiem, a poza tym zależało jej, by w miarę swych możliwości pomóc Pameli.

Zespół medyczny w zielonych fartuchach sprawnie zajmował stanowiska w sali operacyjnej. Przyprowadzono wózek i Joanna zdążyła jeszcze szepnąć kilka słów otuchy do ucha Pameli, która już zaczęła robić się senna. Gdy anestezjolog skończył swoją pracę, otworzyły się drzwi i do sali wszedł Jake w stroju operacyjnym.

– Wszystko gotowe? – spytał. – Dobrze, zatem do dzieła. Zamienił dwa słowa z anestezjologiem, skinął z aprobatą głową, po czym wziął od Joanny skalpel. Szybko, precyzyjnie wykonał pierwsze nacięcie. Następnie w niebywałym tempie wy dostał z łona kobiety trójkę dzieci. Potem bardzo sprawnie założył szwy.

Dopiero wtedy podniósł głowę.

– Jak tam dzieci? – zapytał.

– Dwoje w porządku – poinformowała go jedna z pielęgniarek. – Są malutkie, ale oddychają normalnie. Jednak z trzecim nie jest najlepiej. Natychmiast się nim zajmiemy.

Z sali zabiegowej wywieziono trzy małe inkubatory. Jake i Joanna spojrzeli sobie z niepokojem w oczy. Następnie on sprawdził stan pacjentki, powiedział coś do anestezjologa, wreszcie podziękował całemu

zespołowi za pomoc i wyszedł.

Joanna wiedziała, że Pamela wkrótce się obudzi i na pewno zechce się z nią zobaczyć. Wcześniej jednak postanowiła się dowiedzieć, jak czują się trojaczki.

Stała koło inkubatorów, wstrzymując oddech. Obserwowała w napięciu nagie ludzkie istotki, z których jedna ciągle walczyła o życie, podłączona do specjalnych, skomplikowanych urządzeń.

– O to dziecko właśnie się niepokoi – wyjaśniła pielęgniarka. – Ma mało punktów w skali Apgara, i na chwilę straciło przytomność z niedotlenienia. Dwójka pozostałych, chłopiec i dziewczynka, jest dosyć silna.

Joanna wróciła do Pameli, która nadal była lekko oszołomiona, lecz mimo to zdołała się uśmiechnąć.

– Właśnie wyszedł stąd doktor O'Connor – oznajmiła. – Rozmawiał też z moim mężem. Wiem, że mam dwóch chłopców i dziewczynkę, ale z najmniejszym dzieckiem nie jest dobrze. Chcę je zobaczyć, siostrzo, chcę zobaczyć wszystkie dzieci. Nie chcę, żeby któremuś coś się stało. Pragnę mieć je wszystkie.

Joanna ujęła dłoń kobiety.

– Jutro rano, Pamelu, pokażemy ci twoje dzieci. Tak, martwimy się o stan najmniejszego, ale robimy, co w naszej mocy. Teraz dostaniesz od pielęgniarki środek przeciwbólowy, który pomoże ci zasnąć. Przyjdę tu jutro z samego rana.

Powoli wróciła do gabinetu, zabrała swoje rzeczy, a następnie ruszyła korytarzem w stronę schodów.

Nie wszystkie dzieci udaje się ocalić, pomyślała z ciężkim sercem, ale

to maleństwo tyle znaczy dla rodziców! Nie zniósłabym myśli, że je stracimy.

Było już ciemno, gdy wychodziła ze szpitala. W mroku nie było widać łez spływających po jej policzkach.

– Joanno?

Tuż przy niej pojawił się Jake.

– Widziałem, jak wychodziłaś. Pobiegnę za tobą. – Ujął jej dłonie. – Sądziłem, że pielęgniarki nie angażują się w sprawy pacjentek – rzekł łagodnie, po czym wyciągnął dużą, białą chustkę i otarł policzki.

– Zwykle tak nie reaguję – wyjaśniła drżącym głosem. – Wiem, że to nieprofesjonalne.

Patrzył na nią w blasku latarni.

– Bynajmniej – powiedział.

Ujął jej twarz i pocałował delikatnie w usta.

– Czy możemy porozmawiać, Joanno?

– Jeżeli chcesz – odrzekła niepewnie.

– O tak. I to bardzo. – Uśmiechnął się ciepło. – Ale nie tutaj. Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę swojego samochodu.

Czuła się jak we śnie, z którego nie chciała się przebudzić.

– Pojedziemy nad morze – poinformował ją, gdy wsiedli do samochodu, po czym ruszył w stronę wybrzeża.

Tam, pośród szumu fal delikatnie obmywających piasek, przesyconego rześką wonią powietrza, popatrzył na nią i oświadczył:

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Joanno. Byłem uparty i głupi. I zbyt dumny, żeby się do tego przyznać.

– Ale miałaś rację. Zbyt szybko cię osądziłam, nie dałam ci szansy,

byłam...

Położył palec na jej ustach.

– Czy będziemy marnować czas, zwierając się z naszych błędów? – zapytał. – A może raczej zajmiemy się życiem?

– Wolę... to drugie – odparta drżącym głosem.

– Wspaniale...

Był to gorący pocałunek, najpierw delikatny, a potem namiętny. Wreszcie przytulili się do siebie mocno, czując, że powoli znika wszystko, co ich dotychczas dzieliło. Po chwili Jake szepnął prosto w jej włosy:

– Cóż, nieźle jak na początek. Jak myślisz, Joanno?

– Chyba masz rację – przyznała.

W panującym mroku czuła na sobie jego wzrok.

– Może lepiej odwiozę cię już do domu – powiedział.

– Bardzo mi tu dobrze – zapewniła – tylko...

– Tylko co?

– Jestem strasznie głodna... Wybuchnął śmiechem.

– Skoro o tym mowa, to ja też umieram z głodu. Cóż, pojedźmy coś zjeść, a potem...

– A potem co? – zainteresowała się Joanna.

– Potem zobaczymy – dodał tajemniczo. – Jedźmy już. Kilka godzin później Jake wziął ją za rękę i oświadczył:

– Chcę, żebyśmy się jutro pobrali. Czy to dla ciebie za szybko?

– Pobrali? – powtórzyła oszołomiona i szczęśliwa, tuląc się do niego w łóżku. – Nie przypominam sobie, żebyś prosił mnie o rękę.

– Nie mówiłem nic o ślubie? Naprawdę? Cóż, nie uklęknę teraz przed tobą, ale... – Uniósł się na łokciu, spojrzał na nią czule, wreszcie rzekł: –

Joanno, moja kochana, wyjdiesz za mnie?

Nie wahała się ani chwili.

– Tak, Jake, Zostanę twoją żoną – szepnęła. Nieco później zapytał:

– Czy jesteś tradycjonalistką? Wolałabyś, żebym cię najpierw adorował, zapraszał na randki przed oświadczynami? Dlaczego się śmiejesz?

– Bo sprawiasz wrażenie, jakbyś sądził, że zrobiliśmy coś nie tak.

– Hm... cóż, może masz rację. Ale pytam serio: czy chciałabyś, żebyśmy się pospotykali przez jakiś czas tak jak dziś, a potem ogłosili zaręczyny i wreszcie wzięli ślub?

Joanna zastanowiła się przez chwilę.

– To dosyć miła perspektywa – odrzekła w końcu. – Mogłabym się dowiedzieć, jak wygląda uwodzenie. To może być moja jedyna taka szansa w życiu.

Był to cudowny, szczęśliwy okres. Jake dotrzymał słowa. „Zalecał się do Joanny. Kupował jej kwiaty, zabierał do teatru, na kolacje, przyjęcia, na których znajomi mogli poznać jego narzeczoną.

Wiele czasu spędzali też tylko we dwoje. Poznawali się wzajemnie. Nie tracili już czasu na spory, tylko po prostu byli razem i dużo z sobą rozmawiali.

I tak pewnego dnia wczesnym rankiem spacerowali po plaży, trzymając się za ręce. Jake opowiadał jej o swoim dzieciństwie w Irlandii, a Joanna mówiła mu z kolei o domku na wsi, życiu w rodzinnym gronie, matce i ojcu, przywoływała dawne wspomnienia.

Innego dnia wjechali kolejką linową na jeden z okolicznych szczytów. Wiatr rozwiewał włosy, gdy stali na niewielkiej platformie, patrząc z

zachwytem na wspaniałą panoramę. Potem udali się do małej restauracji na herbatę z ciasteczka

mi, gdzie Jake opowiedział Joannie o swoich rodzicach emerytach, którzy mieszkali w niewielkiej wiosce pod Dublinem.

– Jestem jedynakiem. Moja matka już zaczynała tracić nadzieję, że doczeka się wnucząt – dodał ponuro. – Rozpłacze się z radości, kiedy jej powiem, że się żenię. Rozumiesz chyba, że wkrótce zaczniesz wyczekiwać następnej nowiny.

Słowa te wryły się w pamięć Joanny. Nazajutrz, gdy Jake odebrał trudny poród, patrzyła na niemowlę w jego rękach, wyobrażając sobie, że pewnego dnia będzie w ten sposób trzymał ich własne dziecko. Spojrzeli wtedy na siebie i Jake od razu się domyślił, o czym Joanna marzy. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu tym samym.

Godzinę później, gdy znaleźli chwilę na kawę, spytał:

– Czy to dziś Pamela Sutton zabiera swoje trzecie dziecko do domu? Zawołaj mnie, kiedy przyjdzie, dobrze? Chcę zobaczyć tego malca w jej ramionach, zanim dołączy do rodzeństwa.

– A jak się miewa pozostała dwójka? – zapytała Joanna, kiedy w szpitalu pojawiła się Pamela z mężem.

– Mamy pełne ręce roboty – odrzekła kobieta. – Kiedy jedno śpi, drugie domaga się karmienia. I tak w kółko. Boję się pomyśleć, co będzie, gdy dołączy do nich Rick.

Jednakże równocześnie uśmiechnęła się do męża. Patrzyli na siebie z taką miłością, że tylko można im było zazdrościć. Gdy szczęśliwy ojciec delikatnie dotknął swego syna, oczy Joanny napęłniły się łzami.

– Możecie wkrótce pomyśleć o następnych dzieciach – zapewnił ich

Jake na pożegnanie.

– To chyba nie będzie konieczne – odparła Pamela z przekonaniem.

– Chodź już, Pamelu, wracajmy! – ponaglił ją mąż. – Teraz babcie pilnują maluchów, każda po jednym. Przydałaby się nam trzecia...

Jake z Joanną pożegnali się z nimi przy windzie.

– Szczęśliwe zakończenie – skomentował Jake z satysfakcją. – A może raczej szczęśliwy początek... O której dzisiaj kończysz pracę? Może pójdziemy do kina? Och, nie, muszę być pod telefonem.

– Zjedźmy coś u mnie – podsunęła Joanna. – Domownicy zaakceptowali cię jako mojego narzeczonego.

I tak też było. Rose, Dorothy oraz David otrząsnęli się już z zaskoczenia. Teraz byli bardzo zadowoleni z obrotu wypadków.

Kiedy Jake przyjechał wieczorem do Joanny, Dorothy oznajmiła, że wychodzi z Davidem do miasta.

– Sądziłem, że oszczędzamy pieniądze na ślub – zdziwił się David.

– Postaramy się nie roztrwonić dziś fortuny – odparta Dorothy pogodnie. – Po prostu... pójdziemy sobie gdzieś. – Spojrzała wymownie na narzeczonego, aż wreszcie pojął, w czym rzecz. – Rose ma teraz dyżur – przypomniała Joannie na odchodnym.

Pamiętam o tym, pomyślała Joanna z uśmiechem. Wróciła do kuchni, aby wykończyć sos boloński i dodać go do makaronu. Modliła się w duchu, żeby Jake nie został nagle wezwany do szpitala.

Okazało się jednak, że jej oczekiwania były wygórowane.

– Przynajmniej zdażyłeś coś zjeść – stwierdziła, odprowadzając go do drzwi.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Pożegnali się czule.

– Do licha! – mruknął. – Weźmy wreszcie Ślub, to w końcu będziemy mogli zamieszkać razem.

– Skromne wesele? – powtórzyła Dorothy nieco zawiedziona. – Jak bardzo skromne?

Kilka dni później, w Morgenster, Alice zareagowała na tę wiadomość niemal identycznie. Joanna spojrzała na Jake'a, a Alice popatrzyła na nich oboje.

– Urządzimy dla was małą ceremonię tutaj – zaproponowała serdecznie. – W Stellenbosch jest sympatyczny kościółek, a potem wszyscy goście przyjadą do nas na przyjęcie... Winnice wyglądają wspaniale o tej porze roku.

Sięgnęła po kule, następnie podeszła do Joanny, wciąż trochę sztywno i niezgrabnie, a jednak o własnych siłach. Oparta kule o wózek inwalidzki i objęła przyjaciółkę.

– Jesteśmy przecież dla was rodziną – stwierdziła. – Zgadzam się na skromny ślub, ale musi być bardzo miły.

Philip, który akurat usłyszał te słowa, pokręcił głową.

– Musicie ustąpić – rzekł. – Teraz, kiedy Alice już chodzi, nic nie może jej powstrzymać. – Zerknął na Jake'a. – Zresztą ona ma rację. Jesteśmy rodziną. Chcielibyśmy wam pomóc i zająć się organizacją wszystkiego.

Jake, trochę zaskoczony, popatrzył na Joannę, a ona, nie namyślając się długo, skinęła głową.

Potem już wszystko potoczyło się gładko.

Alice miała krawcową w Stellenbosch, która zgodziła się uszyć Joannie ślubną suknię.

– Ja też chcę nową sukienkę – upomniała się wkrótce Cathy. – Będę

szła przed Joanną i sypała kwiatki.

Przyszło jej do głowy, że w tej czynności mógłby towarzyszyć jej Simba, którego szyję chciała udekorować wielką kokardą, ten pomysł jednak nie zyskał aprobaty dorosłych. A Jake i Joanna uparli się, że nie zaproszą wielu gości; w tym wyjątkowym dniu chcieli dzielić swą radość tylko z najbliższymi przyjaciółmi.

Padało przez całą noc, ale raniem w dniu ślubu słońce zaczęło przenikać przez chmury. W powietrzu czuło się już nadciągającą jesień. Dzień wcześniej Jake odwiózł Joannę do Alice, a potem niechętnie wrócił samotnie do Kapsztadu, by spędzić noc w domu, który kupili w Camps Bay.

Joanna ubrała się, korzystając z pomocy Alice. Brała ślub w długiej sukni z surowego jedwabiu o barwie waniliowego kremu. Zrezygnowała z welonu, wybierając zamiast niego kapelusz z dużym rondem.

– Wyglądasz wspaniale, Joanno – pochwaliła ją Alice. Mam nadzieję, pomyślała panna młoda. W tym dniu chciała szczególnie podobać się Jake'owi.

Do pokoju wbiegła podekscytowana Cathy z rozpromienioną twarzą.

– Czy nie jest śliczna? – zapytała, obracając się dookoła w nowej sukience w różyczki. Gdy Alice z Joanną przytaknęły, dodała grzecznie: – Wy też wyglądacie pięknie.

Czas jakby nagle przyspieszył biegu. Tak wydawało się Joannie, gdy David prowadził ją przez kościół w stronę stojącego przy ołtarzu Jake'a, któremu towarzyszył Philip. David wyglądał na niezwykle przejętego swoją rolą. Pewnie myślał już o własnym ślubie.

Jake patrzył, jak Joanna zbliża się do niego i wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń, widząc szczęście w jego oczach. Ceremonia nie trwała długo. Wymienili obrączki, po czym Jake gorąco ucałował swą młodą żonę. Potem wyszli z kościoła przy dźwiękach marsza weselnego.

Na zewnątrz zaproszeni goście obsypali ich płatkami róż, które rozdała im wcześniej Cathy.

– Prosimy o uśmiech! – zawołał David, patrząc w obiektyw. Przyszła pora na zdjęcia, które miały upamiętnić ten radosny dzień. Joanna wiedziała, że będzie je oglądać ze wzruszeniem.

Philip, podtrzymując Alice, uśmiechał się do niej ciepło. Cathy rozrzucała kwiaty. Dorothy posyłała Davidowi całusy, a siostra Kenton wyglądała na tak szczęśliwą, jakby sama brała ślub. Rose rozmawiała z Anną oraz dwoma lekarzami, których wraz z żonami zaprosił Jake.

Skromny ślub – taki, o jakim marzyłam, pomyślała zachwycona Joanna. W gronie przyjaciół, w gronie ludzi, którzy wiele dla niej znaczyli.

– Cathy chce mieć zdjęcie z panną młodą! – oznajmił Jake i po chwili zawołał: – Spójrz! Tęcza!

Nad odległymi wzgórzami, gdzie nadal kłębiły się chmury, na niebie widniał barwny, majestatyczny łuk.

Joanna była pewna – to obietnica. Obietnica nadchodzących lat, szczęśliwych dla nich obojga.